

KRAUZY

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU



KRAUZY

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

KRAUZY

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
dla odmiany

GAZETA
wyborcza

SPIS TREŚCI

WIZJA SIĘ SPEŁNIŁA	7
Rafał Czechowski, prezes Imago Public Relations	
PRZED NAMI JUBILEUSZ	8
Ingmar Villqist, juror konkursu	
FENOMEN JEDNOAKTÓWEK	9
Waldemar Szymczyk, juror konkursu	
WSTĘPOWANIE DO JEDNOAKTÓWEK	10
Piotr Zaczkowski, juror konkursu	

JEDNOAKTÓWKI

KRAUZY	13
Łukasz Buszman	
ŁOSTATNI GEBURSTAG	22
Grzegorz Sztoler	
CHOP ÔD MOJIJ BABY	29
Marcin Melon	
PSZONIE... JAK TO LEKO JEST PEDZIEĆ!	41
Bożena Donnerstag	
GROVE METAL BAND	49
Krystian Gałuszka	
SZNITA	57
Anna Kandziora	
TREF	60
Krzysztof Kokot	
KŌSTUŚ TROMPYJCIŌRZ	73
Aleksander Lubina	
WE ZRZADLE	84
Wojciech Szwiec	
MAXYMILJAN	90
Irek Widera	

WIZJA SIĘ SPEŁNIŁA

Rafał Czechowski, prezes Imago Public Relations

Ósmy tom antologii dramatów w jednym akcie napisanych po śląsku trafia w Państwa ręce w bardzo szczególnym momencie. Jest to nie tylko rok obchodów 100-lecia powstań śląskich, a właściwie rok rozpoczynający cały cykl tych najbardziej okrągłych z rocznic. Jest to także rok, w którym odkryliśmy, że jednoaktówki sprawdzają się fenomenalnie nie tylko jako refleksja czy komentarz do zdarzeń historycznych, czy – współczesnych nam – społecznych. Okazuje się, że potrafią stanowić środek wyrazu dla profetycznych niemal wizji, które na naszych oczach, po krótkim czasie, się wypełniają. Szczęśliwie, przynajmniej same wizje (bo odpowiadająca im rzeczywistość już niekoniecznie), podane są w lekkiej, jakże zabawnej formie. Dowodem jest tytułowa jednoaktówka Łukasza Buszmana „Krauzy”, w której w państwie o nazwie Śląsk, ze stolicą w Katowicach, rząd obraduje nad „gorącym kartoflem”, jakim jest zapowiadana tu demonstracja... korpulduków z Warszawy – „czarnej dziury na mapie Śląska”. Od premierowego odczytania tej farsy podczas finału „Jednoaktówek po śląsku” w 2018 r. minęło zaledwie dziewięć miesięcy (sic!), zanim do Katowic zjechała

polityczna śmietanka rządzącej formacji świętować Dzień Wojska Polskiego, co poprzedziło wielkie zamieszanie logistyczne i towarzyszące mu społeczne wzburzenie. Jakże wzbogaciło to wydźwięk „Krauz”, nadając ich możliwym interpretacjom nową przestrzeń.

Nie tylko uważni obserwatorzy naszego konkursu potrafią docenić przenikliwość i błyskotliwy dowcip jednoaktówek. Fragmenty filmu z zapisem kulminacyjnego monologu „premera Śląska” obejrzały dziesiątki tysięcy internautów, pozostawiając przy nim liczne komentarze wyrażające, niekoniecznie wprost, uznanie dla Autora. I choć nie jest – oczywiście – rolą „Jednoaktówek po śląsku” udział w politycznej agitacji czy kształtowanie postaw wobec dowolnych kwestii społecznych czy światopoglądowych, kiedy taki zamiar chcą zrealizować indywidualni autorzy, ich dzieła mają, dzięki naszej „scenie”, szansę na znaczący rezonans. A to całą „jednoaktówkową” społeczność: organizatorów i partnerów konkursu, jego uczestników, przyjaciół i kibiców – bardzo cieszy!

Przyjemnej lektury!

PRZED NAMI JUBILEUSZ

Ingmar Villqist, juror konkursu

Jednoaktówki – mawia się w teatrze, że to najtrudniejsza forma pisania dla sceny. Tak jest w istocie. Wiem o tym dobrze. Można zapisać setki stron i stworzyć kilkuaktową ramotę, dobry reżyser coś zawsze z tego wycisnie – na siłę. Ale jednoaktówka zawsze weryfikuje umiejętności dramaturga. Wymaga świetnego pomysłu, precyzji narracji, słowem – warsztatu. Kameralna forma utworu obnaża bezlitośnie wszystkie słabości autora. Kilkanaście stron, ledwie na których opowiedzieć trzeba fragment historii bohaterów, ale także ich przeszłość, marzenia o przyszłości, w dialogach i w tym, co niezapisane, pokazać ich charakter, a przecież każdy posługuje się w inny sposób językiem, co innego znaczy to, co chce powiedzieć, a czego nie.

Autorzy nadsyłający swe prace na dziesiątą już edycję konkursu na napisanie jednoaktówki po śląsku, a jest już ich dobrze ponad setka, piszą znakomite teksty, wydają je i wystawiają. Zastanawiam się czasem, czy my, organizatorzy konkursu, mamy świadomość tego, że powstało na Śląsku zjawisko artystyczne skupiające ludzi kochających teatr, pisanie dla teatru. Piszą jednoaktówki po śląsku, bo taka jest idea konkursu, ale najważniejsze, że piszą bardzo dobrze, i coraz lepiej.

Przed nami, za rok, jubileusz, po raz dziesiąty nagradzać będziemy jednoaktówki pisane po śląsku. I zastanawiać się nad fenomenem twórczości dramaturgicznej po śląsku na Śląsku. Może coś wspólnie wymyślimy?

FENOMEN JEDNOAKTÓWEK

Waldemar Szymczyk, juror konkursu

Laureatami ósmego konkursu na jednoaktówkę po śląsku zostali „zawodowcy” – osoby, których nazwiska już pojawiały się we wcześniejszych edycjach konkursu.

Pierwsze miejsce zajął Łukasz Buszman za jednoaktówkę „Krauzy”. Akcja dzieje się w nieokreślonej przyszłości, w Rzeczpospolitej Śląskiej. Rząd urzęduje w Katowicach, a Warszawa jest „czarną dziurą na mapie Śląska”. Po decyzji Unii Europejskiej, aby likwidować nierentowne miejsca pracy w korporacjach, rząd przygotowuje się do kolejnego protestu korpuludków z Warszawy, którzy zamierzają demonstrować na Śląsku. Skąd my to znamy, prawda?

Drugie miejsce w konkursie zajął Grzegorz Sztoler za przejmujący monodram „Łostatni geburstag”. To opowieść starszej kobiety o swoim trudnym dzieciństwie, o ojcu despicie i ciężkich czasach, w których przyszło jej żyć.

Trzecie miejsce zajęła sztuka Marcina Melona „Chop ôd mojjj baby”. Jego jednoaktówka opowiada o silnej, śląskiej kobiecie, która ma... dwóch mężów i młodziutkiego kochanka. Sztuka to rewelacyjna zabawa obyczajowa, skonstruowana jak wzorcowa jednoaktówka. Kiedy już myślimy, że wszystko wiemy, pojawia się nieoczekiwany zwrot akcji. Ale Melon to zawodowiec – ma na koncie już pięć książek napisanych w języku śląskim.

Jury w składzie: Mirosław Neinert, Waldemar Szymczyk, Robert Talarczyk, Ingmar Villqist oraz Piotr Zaczkowski wyróżniło także siedmiu autorów jednoaktówek: Bożenę Donnerstag za „Pszenie... jak to leko jest pedzieć!”, Krystiana Gałuszkę za „Grove Metal Band”, Annę Kandziorek za „Sznitę”, Krzysztofa Kokota za „Tref”, Aleksandra Lubinę za „Köstusia trompyjciörza”, Wojciecha Szwieca za „We zrzadle” i Ireneusza Winderę za „MaxYmilJana”.

Od pierwszej edycji w 2011 roku „Jednoaktówka po śląsku” cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Konkurs otrzymał wiele pozytywnych recenzji zarówno w mediach regionalnych, jak i ogólnopolskich. Jednocześnie, zdaniem wielu specjalistów, sprzyja budowaniu lokalnej tożsamości, popularyzuje i rozwija język śląski.

Dotychczasowych osiem edycji konkursu zaowocowało ponad 300 pracami. Siedemdziesiąt z nich znalazło się w książkowym zbiorze najlepszych jednoaktówek. – Na Śląsku dramaty po polsku pisze kilka osób, po śląsku – kilkadziesiąt. To fenomen. Tym bardziej że wiele tych prac, po niewielkiej obróbce, może trafić na profesjonalne sceny – podsumował konkurs w 2018 roku Ingmar Villqist, jego pomysłodawca i juror.

WSTĘPOWANIE DO JEDNOAKTÓWEK

Piotr Zaczekowski, juror konkursu

Bohater mojej ulubionej literackiej fantazji z dzieciństwa, wymyślony przez Jana Brzechwę Pan Soczewka, odważny, niewielkiego wzrostu, lecz pomysłowy, schodził na dno oceanu. Gdyby po drodze zaprzyjaźnił się z Meluzynami Gustawa Morcinka, byłoby pewno ciekawiej i jeszcze bardziej magicznie – i nie zabrakłoby śladów ludzi, chociaż ich samych nie byłoby wcale. Dzisiaj ludzie mieszkają głównie w telewizorach albo z nimi pod jednym dachem i jeżeli gdzieś schodzą, to nie za głęboko.

W finale jednoaktówki Marcina Melona – o tytule „Chop ód mojj baby” – Erwin „gasi telewizor”. Daje sobie spokój z tym przedmiotem i rekwizytem (lajerą) w chwilę potem, gdy „Epny Profesor” zakomunikował z okienka banał: „Śląskie żony i matki z pokorą i radością pełnią rolę służebną, świadome, jak istotne jest zachowanie tego modelu...”. Jak wiadomo (nie tylko po lekturze utworu Melona), modele rzadko zachowują się wzorcowo, a częściej mimowolnie komicznie, pozostając przy tym nadal przejrzyste, a więc niezbyt skomplikowane. Nie inaczej

postąpili z domniemanym śląskim światem przedstawionym – mimo że wybrali inne do nadawania kanały – autorzy pozostałych dwóch utworów nagrodzonych w konkursie. Monolog Hildy – i dziejący się wyłącznie w jej głowie „łostatni geburstag”, umiejętnie odtworzony przez Grzegorza Sztolera – objawił się odpowiednio lirycznie, żałobnie. Łukasz Buszman skleił „Krauzy” z brawurowego kabaretu i aktualnej prognozy politycznej pogody, odczytywanej z mapy wiszącej na odwrót i na pewno do góry nogami. Jednak to teatr z telewizora, nawet jeżeli na gorzko albo na przekór.

Na szczęście życie domniemane, możliwe, a więc jakoś lepsze, bardziej przyjazne, będzie działać dalej. Wygasła moja lektura, opadła kurtyna. Hildzie wiatr historii i biedy przestanie wiać w oczy; premier odmienionej, bo śląskiej, Rzeczpospolitej zapali papierosa; Antoine i Erwin pójdą pewno na piwo, bo co tu robić innego. Może im wszystkim przyśni się tłusta śląska gęś, drób nie zielony, bo kolorowy, gęś krzyżówka, zjawisko ciekawe, lecz coraz mniej zgadywanka.

JEDNOAKTÓWKI

Łukasz Buszman

WYSTYMPUJOM:

PREMIER RZECZPOSPOLITEJ ŚLĄSKIEJ

JEGO DORADCA

JEGO ASYSTENT

URZĘDNIK

*Nilokreślono przyszłość. Gabinyt Premiera Rzeczpospolitej Śląskiej
w Syjmie Śląskim w katowickiej stolicy. Wiyłkie, rube biurko, fotel.
Przed nim łokragły stolik i wyściyłane krzesła. Na ścianie słonsko fana, mapa
Rzeczpospolitej Śląskiej blank jak dawno Polska, portrety Wojciecha Korfantego
i Jerzego Ziętka. Premier zicnął przy biurku, przy stoliku doradca.*

BINA PIYRSZO

Gruchnyły drzwi, wbiega zdyszany asystent premiera.

ASYSTENT:

Bydom jechać!

PREMIER (*podniesionym głosem*):

Ale wto?

ASYSTENT (*zdyszany*):

No jak to wto – warszawioki!

PREMIER:

Zaś!?! Pieronie, bydzie rozróżba kole Skarbka, a Roździyńskiego cołkiem zabloko-
wana. Jak nyy te manify, to zaś maratony, a jeszcze durś wtoś przyjeżdżo na pro-
testy. Łoni sie uwziynli na ta stolica.

DORADCA (*ze spokojem*):

No ja, ino warszawioki som najgorsze.

PREMIER:

Po jakiemu?

DORADCA:

No bo mosz zatkane całe miasto tymi bejcami i innymi lamborghini. Pamiętosz,
jak tyn Wojewódzki przyjechał!?! Stanął se na środku ronda i wyłożył z auta z ja-
komś tam Rynulkom i pado, że nikaj dalyj nyy jedzie, bo łon jest król i łon chce
mieć wszyndzie blisko. A do tygo durś ino te hotspoty im podtykoć pod nos, bo
im się te łosobiste siyci na ajfonach zrywają.

PREMIER:

Ech... a tela jeszcze niydowno godali, że te grubiorze som najgorsze, bo pora
rozy łopony podpolili.

ASYSTENT:

Zapowiada się, że będzie z piynć tysięcy ludzi.

PREMIER (*wstaje z fotela*):

Wielą?!

ASYSTENT:

No piynć tysięcy. To będzie sztrajk pracowników korporacji, a wiesz wielą ich tam jest.

PREMIER:

Pierona, w tyj Warszawie ino te korporacje. Łoni przeca tam nic innego nie mają. Korki, kopoludki i Pałac Kultury.

DORADCA:

No niy, no trocha zielyni mają.

PREMIER:

Zielyni? We Warszawie!? Cheba na łogródkach działkowych na Białolyncie.

DORADCA:

Dej pozór. Tak niy możesz godać. Przynajmniej łoficjalnie. Jo wiym, że Warszawa to czorny punkt na mapie Śląska, ale jak z nimi bydziesz godoł, to musisz docynić, że som te... Pola Mokotowskie czy pałac w Wilanowie. Łoni to lubiom, bo durś ino słyszom, że u nich nic oprócz korporacji niy mo.

PREMIER:

Może i dobrze godoisz, ale som wiysz wielą się co roku dokłada do tych ich korporacji. Na emerytury idom jako piyrwsi. Nowet policmajstry muszom dłużyj robić. A co my z tygo momy?! Trocha dobrych kontaktów z zagranicznymi biznesami. Tela.

DORADCA:

Ale podatki płacom. Mosz za co autobany robić, ja? A tak w ogóle, to co łoni zaś chcom?

ASYSTENT:

No deputaty.

PREMIER (*wymachuje rękami*):

Przeca łoni na grubie nie robiom!

ASYSTENT:

Deputaty na sojowe latte i burgery z tofu. Nie słyszolżeś – łoni uważajom, że jak grubiorze mogom dostować coś za darmo, to łoni tyż powinni. Tako innowacyjno forma wsparcia silnych gałynzi przemysłu.

PREMIER:

Ło pieronie, i może jeszcze żeby plac Zbawiciela na pomnik przyrody przerobić!

ASYSTENT:

Niy, ale by chcieli, żeby kopia warszawskiej Syrynki stanęła przed Spodkiem, kole ronda. To akurat tyn Wojewódzki zapowiadał w telewizji, bo łon tam stoł swoim lamborghini.

DORADCA:

Jo żech ci godoł, że jak my tego Korfantego w Warszawie postawimy, to zarozki coś wymyślom. Te pierony som szczwane.

PREMIER (*siada z powrotem na fotelu*):

No Jezderkusie, przeca zawsze żeście mi godali, że te warszawioki to takie spolegliwe som. Że jak im się do toniego wusztu, autobana doprowadzi i tyn ich jedynosty listopada bydzie śwyntować, to bydom cicho siedzieć.

DORADCA:

Terozki i dwunosty.

PREMIER:

Jeronie, a może być i dziysionty – durś ino ta pyntla zaciskają. Łoni cheba myśłom, że Rzeczpospolita Śląska to, jak łoni mówią, ino ich „kraj lot dziecinnych”. A tu każdy mo swój jakiś heimat. I poznonioki, i kujowioki, i krakusy. A my som przeca łodpowiedzialni za wszystkich.

DORADCA:

Ja, gynął, ale warszawioki som terozki łobrażyni, bo żeś im pedzioł, że som ukryta łopcjo rosyjsko.

PREMIER:

Pieronie, bo to kampania boła i jo zech chciał, coby w cołkim kraju nie godali, że my ino o tych warszawiokach myślimy. A poza tym to chyba jest tak, że jakieś warszawioki w krasnoarmieńskim wojsku w łońskich latach beli, pra?

DORADCA:

Ja, jo wiyem, starzik w Armii Czerwonej – za to tyż cie nie lubią.

PREMIER:

Mie? Przeca to ty żeś wymyślił!

ASYSTENT:

Z bigosym tyż jest kłopot.

PREMIER:

Jezderkusie, z jakim zaś bigosym?!

ASYSTENT:

No bo łoni chcą, żeby to boł produkt tradycyjny, a my do Unii zgłosili ino krupniok i rolada.

PREMIER:

Z tymi warszawiokami durś jest jakiś problym. A tako fajno gwara majom, te szlagry takie gryfne. (*śpiywo*) Gdy patrzę w tve oczy zmęczone jak moje...

ASYSTENT (*śpiywo*):

...to kochom to miasto zmynczone jak jo.

PREMIER:

Z tego ich „Pana Tadeusza” to zech niezły szpas mioł. Nojbardziej zech się uśmioł, jak ta szwarc polywka naloli. Takie fajne to, pocieszne. A ciebie powiem (*do Doradcy*), że widzisz, jak to z tymi warszawiokami jest – nojważniejszo ich książka, a zaczyna się „Litwo, łojczyzno moja”! To z jakiej łoni opcji som, bo jo już nie rozumia.

ASYSTENT (*śmieje się*):

Wiemy ino, że ta ich Wanda niy chciała Niymca. Ciyńzko to zrozumieć.

DORADCA (*namyślił się*):

Z tym bigosym bym się zgodził. A co nam wadzi, że bydzie tradycyjny.

PREMIER:

Ja, mosz recht – z tym bigosym to łód rynki trza załatwić. Przeca to tyż kapusta, jak naszo, ino że bioła albo kiszona. Tako kapusta wyborcza (*śmieje się*).

ASYSTENT:

Aha, no i łoni chcom, żeby gwara warszawska oficjalnie stała się jynzykiem.

PREMIER:

No chyba ich posroło! Jynzykiem jest u nos przeca ślaski i tela. Fajnie tak se tego warszawskiego posłuchać w jakichś wicach albo w serialu, jak choby tyn... no... „Świnyto wojna”, co tam boł tyn (*z przekąsem*) Hubert, epny korpoludek, co się nie był w stanie dogodać ze Ślonzokiem. Tak to ja, ale jynzyk?! Już zech kilka rozy ło tym rozprawioł z tymi z Ruchu Autonomii Warszawy.

DORADCA:

Łoni się dzisiok nie liczm, bo se narobieli na wyborach. Na kartach se wpisali RAW i żodyn nawet progę wyborczego nie przekroczył.

PREMIER:

Ło Jezderkusie, to z jednymi momy choć pokój.

ASYSTENT:

Może by im to latte tyż doć?

PREMIER:

Ty byś doł, a my to już liczyl. Porachuj se – jak ich bydzie piynć tysięcy, to wiesz, ile to się dziennie robi za latte? Pierońskie koszty, a zarozki kolejni się ustawiom w kolyjce. Poznanioki, że chcom deputat na kartofle, krakusy po łobwarzanki, a Zagłymbioki po zalewajka. Zarobisz na to? Bo jo niy!

DORADCA:

A łoni w ogóle zarejestrowali tyn protest?

ASYSTENT:

Niy, wiemy ino, że się zbiyrają.

DORADCA:

Łoo, to gibko muszyny jakiś marsz zarejestrować. Może by tych naszych synków zmobilizować? Ino takich richtig ultrasów, co się przelecom po cyntrum z jakimś racami i transparyntami o jedności Śląska.

PREMIER:

Po jakiemu?

DORADCA:

Jeronie, nie pamiyntosz? Łonegdaj jedyn premier wprowadził zasada, że jak już jest jedna dymonstracja, to żodna inna nie może iść tom samą ulicom.

PREMIER:

Genau, to jest cołkiym dobre wyjście. Warszawioki se mogą iść przez Józefowiec abo na Podlesie i do Mikołowa.

ASYSTENT:

Abo do Parku Śląskiygo ich obok elefantów i małp puszczymy.

(*śmieją się*)

DORADCA:

Dobra, ale to nie złagodzi tymatu. My coś musimy z tymi warszawiokami wyrychtować na dłużyj. Może by jakom łodezwe napisać? Wystompisz po Aktualnościach o 19.30 w Jedynce i pójdzie na cołki kraj.

PREMIER:

Ło, to jest pomysł. Taki „Program dla Warszawy”. Ale to musi być... takie wiysz, pod nich zrobione – wyrychtowane na glanc. Może coś tyndy:

Drogie warszawioki. Wyście som takie gryfne frełki i synki. Mocie fajno gwara i kuchnia. My wos sam w cołym kraju bardzo lubimy, ino trocha nos mierzi, że w tyj gwarze to mocie dużo rosyjskich nałyciałości.

DORADCA:

Ło pieronie, toś tyrozki wymyślił. Jeszcze ino dopisz „Śląsk dla Ślązaków”.

PREMIER:

No to co ja mom im pedzieć?

ASYSTENT:

U mnie jest w biurze taki synek, co jego baba ze Sosnowca pochodzi. Starzyki łod tyj baby to cheba z Warszawy tu przyjechoły za chlybem. Może łon coś poradzi.

DORADCA:

Dowej go tu!

BINA DRUGO

Godzina późnij. Gabinet premiera. Włazi urzynydnik, patrzy niepywnym wzrokiem.

PREMIER:

No dobrze, że pan jest, niech pan se zicnie.

(urzynydnik siada)

PREMIER:

Jo żech słyszoł, że waszo frełka to jest z Altraichu, a jej starzyki to z Warszawy pochodzą, ja?

URZĘDNIK *(duka)*:

No... ja... to je richtig, ale my już cołkiym Hanysy som...

PREMIER:

Niy stresujcie się – jo się w ogóle nie gorsza z tygo powodu. I wiym, że się wiela godo o tych, co do Katowic przyżdżajom, coby szukać nowego życia. I że łone najlepsze miejsca do roboty bierom i rynek psujom. No tak to z tymi warszawiokami bywa, ale jo nic ni mom do waszyj baby.

URZĘDNIK:

To cheba trochę stereotypy som, ja?

PREMIER:

No ja, ale prawda jest tyż taka, że we Warszawie już niy mo takich kokosów jak pora lot tymu. Łodkond my zaczęli zamykanie nieryntownych korporacji, to się skończyło eldorado. Część z ludzi dostała rykompensaty, ale wiadomo, że nie każdy wydo dobrze te piyniondze. Łoni nie rozumiem, że tego Unia wymaga – musimy robić redukcja zatrudnienia w korporacjach, bo takie usługi som tańsze

nawet w Australii. No i terazki łoni szukają roboty w Katowicach, kaj momy nojlepsze warunki zatrudniynia. Tukej w stolicy nawet tak ich gryfnie nazywajom.

ASYSTENT:

Krauzy.

PREMIER:

Ja, krauzy, bo łoni durś z tym bigosym w krauzach tu przyjeżdżają.

DORADCA:

No to jak my som przy tym bigosie, toby my musieli panu pedzieć nieco wyyncej. Warszawioki chcą do Katowic przyjechać i „Marsz na stolicę” zrobić. Wie pan, zaś tu gańba bydzie, cało policja bydzie trzeba mobilizować i takie tam. My wymyśleli, żeby coś tym warszawiokom dać, trocha ich uspokoić, ale do tego wiele nałobiecywoć. Ino musimy wiedzieć co, bo łoni nie som gupieloki i na sam bigos nie pódom.

URZĘDNIK:

Aha. Mocie recht. Jak my som u starzyków łód mojej baby, to durś rozprawiajom, że łoni łód dwustu lot bigos robiom. Ino że to jedynie tak symbolicznie może być dobrym krokiem.

PREMIER:

Ja, to już momy załatwione, ale chodzi tyż ło coś wyynkszego – „Program dla Warszawy”. Takie piyńć nojważniejszych punktów.

URZĘDNIK:

To może by coś z tym Mazowszym zrobić.

PREMIER:

Ale co?

URZĘDNIK:

No bo kasę cyntralną z Katowic rychtujecie ino dla zyspołu Śląsk. A we Warszawie godajom, że Mazowsze to tyż jest dobro narodowe i ważny zyspół dla całego kraju.

PREMIER:

Łoni som nieryformowalni. Noprawde ło takie pierdoły sie ciepiom?

URZĘDNIK:

To niy som pierdoły, łoni pierońsko dbajom o swoja tradycja, a potem godajom, że w Katowicach to warszawioków nikt nie rozumie.

PREMIER (*do asystenta*):

Pogodosz z ministrym kultury, żeby im na to Mazowsze coś doł, ale pamiyntej – pod warunkiem że jakieś tradycyjne śląskie pieśni też wykonywali.

URZĘDNIK:

No i może coś z tym stadionym by my mogli zrobić.

PREMIER:

Jakim zaś stadionym?

URZĘDNIK:

No bo my terazki budowali Stadion Śląski, pra?

PREMIER:

Pra.

ASYSTENT:

A warszawioki mają tyn swój stary, niby łon się Narodowy dalyj nazywo. Warszawioki bardzo mu przają. No i łod kiedy Śląski zgarnio nojlepsze imprezy i mecze, to łoni wnerwieni som pierońsko.

PREMIER:

My by mieli fusbāl warszawiokom łoddać? Ni mo szans!

DORADCA:

Przestań się nerwować. Trza se powiedzieć, że my ich trocha wycyckali, bo śląsko kadra gra terozki ino w Chorzowie, a przecież mamy w niej tyż kilku synków choby z Legii.

PREMIER:

Nie godej, bo to już gańba boła, że stolica niy mo żodnygo stadionu i durś te nojlepsze wydarzenia my musieli we Warszawie robić. Mie się już nie chciało tam w kółko jeździć i w tych korkach stać. A już po tym, coś mi ło tym Wojewódzkim spomniół, to żałują, że tak samo niy zrobił na placu Defilad. Terozki mamy stadiony u nos i w Poznaniu czy Wrocławiu. Łoni się muszą przyzwyczać, że się nie krynci wszystko wokół Warszawy. Już niy!

ASYSTENT:

Ino wiysz, że warszawioki to pierzyńsko som do niygo przywiązane. Bardziej chyba ino do Pałacu Kultury.

PREMIER:

My tyż som przywiązani do Spodka czy Hali Wystaw „Kapelusz” i co? To jest cheba normalne, że w stolicy są nojwiększe wydarzenia, pra? Zresztą kiedy łoni mie liby na te imprezy chodzić? Myślą jedynie ło tej robocie, a potem se pojeść i spać. To nie jest publiczność na wysublimowane wydarzenia.

DORADCA:

Ja, ale wiysz, coś by trzeba wymyśleć, żeby trocha ich połechtać.

URZĘDNIK:

Można by spróbować jakoś inna dyscyplina im wciepnąć, pedzieć, że terozki ten ich stadion bydzie narodowy, ale ino w jednym sporcie.

PREMIER:

O, to je dobre. Fusbalu nie bydzie, ale stadion we Warszawie bydzie np. narodowym stadionem hokeja na trowie.

(śmieją się)

DORADCA:

A na każdych zawodach łoprócz popcornu i hot dogów bydom podawać bigos.

(śmieją się jeszcze bardziej)

URZĘDNIK *(z niepewnością)*:

A z tom autonomiom to my nic nie zrobimy?

PREMIER:

Ni bydzie żodnej autonomii! Pierona, już niy mogą słuchać, że sto lot tymu była jakoś wiyłko Warszawa. Dzisiaj tu jest Śląsk, a Śląsk je jedyn. Jo żech nawet myśłoł, coby w łoryndziu wspomnieć ło tyj Hiszpanii. Żeby się z Warszawom nie

skończyło jak z tom Kataloniom, ale pewnikiem łoni by się ino najeżyli i by my mieli separację warszawskom na bank.

URZĘDNIK:

Dobra, to jo bych jeszcze proponował, żeby to metro im skończyć. Łoni je budujom już ze trzydzieści lot, a durś się ino przeciepujom tym, wto wreszcie zrobi te piyńc linii, co majom zaplanowane.

DORADCA:

Ja, to je dobry pomysł. Łoni już się z tym bawiom za długo. Ci z korporacji bydom mieli lepsze warunki dojazdu do roboty. Wyślemy tam pora chopców z Halymby i Zofiówki, to im to w dwa lata skończą.

PREMIER:

Mocie recht. To wila tych punktów momy?

ASYSTENT:

Momy pełno „Piątka dla Warszawy” – bigos, Mazowsze, stadion, metro i te deputaty, ale ło nich my jeszcze nie skończyli.

DORADCA:

Jo myślą, żeby zrobić jakieś dopłaty. Na przykład do małej latte i do połówki tofu. Robisz w korporacji, mosz tako porcja na dzień. Bydzie groło, trocha się to jakoś piarosko obrobi. Przeleziesz się na tych ich bulwarach Wisły i se pojesz burgerów, pogodosz, jakie pyszne som i bydzie groło. Wyynkszość to cheba kupi. Taki sojusz śląsko-warszawski.

PREMIER:

Ino jo pierońsko tego tofu nie lubia.

DORADCA:

Ale byś chciał, żeby zodyn z Warszawy tu protestować nie przyjeżdżoło, ja? A w wyborach żeby łoni na ciebie głosowali, pra?

PREMIER:

No ja, jo wiyom – takie rzeczy się robi. Dobra, przebołyja, chyba my już se wszystko wyrzychtowali. Terozki trzeba ino to ładnie łopisać i musza se to pora rozy przeczytać, a wy dzwońcie do telewizji, że jo dzisiok byda u nich gościem po Aktualnościach.

BINA TRZECIO

Studio telewizyjne. Przed kamerą premier, obok niego śląsko fana. Za kamerą Doradca i Asystent. Rozpoczyna się transmisja oryndzia w piyrwszym programie telewizji publicznyj po Aktualnościach o godzinie 19.30. Najazd kamery na Premiera.

PREMIER (czyto z promptera):

Drogie warszawioki, cołki kraj docynia trud waszej roboty. Wosz wkład w rozwój noszej śląskiej łojczyzny jest nie do zastompiynia. Wasze familie najlepiej wiedzom, jak to jest, kiedy cołkiym rano wylazicie do roboty z myślom, że możecie już nigdy nie przyjść nazod. Mogom was przeciyż dopaść hercklekoty z powodu sztresu, abo bydzie trzeba zostać po godzinach, żeby dokończyć prezentacje, a potym czasnom was korzonki łod tygo durś siedzynia. Nie spomna już nowyt ło tych korkach, kiere co rano narażajom was na choroby nerwów.

Rzeczpospolita Śląska jest wam wdziynczna za tyn wysiłek i dlatego łod nowy-go roku wszyscy, co robiom w korporacjach, dostaną dofinansowanie na małe sojowe latte i pół burgera z tofu dziynnie. Bydzie to pierwszy punkt z „Piątki dla Warszawy”, kiery wprowadzi nasz rząd. Chcemy, żeby Warszawa, tyn szczególny region na mapie Śląska, była rzeczywiście perłą w koronie, jak to łopowiydziół w jednym z filmów wasz wiyłki reżyser. Wnioski o dofinansowanie przyjmować bydom nasze warszawskie oddziały Ministerstwa Przemysłu.

Bydymy też chcieli, żeby bigos stoł się potrawom tradycyjnym, bo wiymy, jak woż-na dla was jest waszo kulinarno tradycja. Na wielu rodzinnych imprezach mom okazja spróbować bigosu, i tak po ludzku, jak zwykły chop, musza wam pedzieć, że bardzo mu przaja. Ważne, żeby wspólną tożsamość narodowom budować na bogactwie kulinarnym, i wy pełnicie w tym ważno rola. Dlatego przedstawimy do Unii tako propozycja i momy nadzieja, że obok krupnioka i rolady bydymy mogli świyntować takie miano dla bigosu.

Chca jednocześnie spomniyć, że rozmawiomy już z ministrem kultury, żeby zespół Mazowsze dostał coroczna, cyntralno dotacja. My tu w Katowicach, jak pewnikiem w cołkim kraju, cenimy wszystkie łodmiony śląskości, także tą warszawską. Muszymy je wspierać, bo kajś na końcu jest przecież dobry i spokojny rozwój cołkiego Śląska.

Docyniomy tyż, że przez wela lot nojwiynksze imprezy sportowe i muzyczne były organizowane na waszym stadionie. Terozki jest trocha inno sytuacja i jak w każdej rodzinie muszymy się dzielić tym, co momy. Dlatego bydymy godać ze związkiem futbolu, coby w Warszawie łodbywały się czasem jakieś szpile. Ale nojważniejsze jest to, że zgłosilimy już wasz stadion do międzynarodowej unii hokeja na trowie jako narodowy stadion hokejowy. Momy nadzieja, że kolejny mundial w tyj dyscyplinie bydzie organizowany przez nasz kraj i nojlepsi zawodnicy hokeja na trowie pojawiają się właśnie u was.

Muszymy wreszcie rozpocząć poważno dyskusja o Warszawie, Warszawie, co mo trudna historia i z jednej strony jest wiyłkim śląskim dobrem, a z drugiej wiyłkim problemem. Trza spojrzeć na historia waszej ziymi. Otóż Warszawa była przez wiele lot traktowana jak ziymia uprzywilejowana. Były piykne akadymie, nagrody i prymie, ale za tym kryła się inna rzeczywistość. Warszawa była tak naprawdę eksploatowana i wykorzystywana, to była ziemia straszliwie ciynżkiej i katorżniczyj pracy.

Historia Warszawy musi być pisano po prawdzie. Z troską o wszystkie niuansy historii, ale tyż z myślą, jak ważna jest dla cołkiego Śląska. Dłatygo powołamy w Instytucie Pamiyni Narodowej specjalno komórka, która bydzie szukać tych nojważniejszych warszawskich korzyny.

Szanujmy wasze przywiązanie do tradycji, żeście som ludzie robotne i familijne. Bydymy ło was pamiyntoć i momy nadzieja, że wy bydziecie umacniać swoją śląską tożsamość. Niech żyje śląsko Warszawa. Niech żyje nam korporacyjny stan! Toż pyrsk!

Łobroz gaśnie.

ŁOSTATNI GEBURSTAG

MONODRAM

Grzegorz Sztoler

Ciotce Hildzie z ulicy Polnej...

*Prozno bina. Na binie inoś ryczka, ława i austisz, za nimi bifyj.
Włazi staroszka – mianuje sie Hilda – kce se zicnonć na ryczka, nale niy
poradzi sie zegiońć. Łomie jom festelnie w krziżach. Tosz siado na ława wele
austisza... I zaczyno godać do luftu – abo pieron wiy, możne tamsikej wele ni
ftoś siedzi? Hilda prawi, kejby kole ni siedziała cało hormija ludziów...
A możne sie ji niy zdo?*

HILDA:

Łojciec mój, fester, to broł flinta, wuszt i szeł do lasa, a my, dziecka, musieli robić. Na polu robić. Były dwie morgi owsa do wysieczynio. Jo samach siykła wszyjsko kosom, pomagaly mi siostry i braty. Tosz my durś robili na gospodarce. Chowali my dwie krowy, swinia i inszo gadzina. A było nos jedynostu... Jo byłach najstarszo, trzydziesty piyrszy rocznik... Samach łod szóstego roku zycio łażiła do sklepów, jeżdżiła na torgi, coby cosikej sprowić. Moja matka, Berta, nikyj niy szła, do żodnego geszeftu, boła sie, że sie kiery pomiaruje, że rachować nie poradzi... Ja, prowda... Łona sie traciła ftych piniondzach... No i źle widziała, skuli cukru.

Dyć to jo jeżdżiła do ciotki Andzi do Frysztatu bez wojna, jakzech miała z dwanoście lot. Trzeja było sprowić cosikej do jedzynio. Wszyjsko było na kartki... Sama żech musiała wszyn dy zajechać, łod małego. Staralach sie ło wszyjsko, łod jedzynio, przez łobleczyni, po szczewiki. A z Fridkem, bratem mojim, to sie na torg z gryfnymi fryślokami jeżdżiło. A czym? Rafiokiem, pierzinie, a konia my łod somsiada brali... A cyganili my, bo sie nos ludzie pytali, kaj som łojce. A my padali, że kaś poszli... Bo to prowda była, łojciec to sie po lesie smykoł z flintom, a matka... A muter wdycy słabawo była, dyć nos tela porodziła... Dyć nos jedynostu było! Pierzinie, behama to każdy rok do nos łażiła... Pora dziecek nie dożyło... Nale reszta s nos wyrosła na porzondnych ludzi.

Handlowali my tys z yziomiokami i zbożem, a na jesiyn kapustom. Przedowali my ludziom jajca łod kur, coby wdycy był jakisikuj grosz w chałpie...

To jo kupowała łojcu materiał na mundur w Żorach, pamiyntom. I niyroz, jak było trza, to żech do Frysztatu, do tej łonej, moji potki jechała. Łona rychtyk mi przola... I do Żor sie jyzdżiło, Rybnika, Pszczyny, Strumiynia. I to jo sama żech sie wyprowiała. Matka nikaj niy szła... Wszyjsko jo musiała – a wiela mi było? Noście lot, nale wybier sie som... Strach... Niy to co teroski... Ty myślisz, że jakisikej autobusy były? Psinco. Piechty sie szło, abo na kole. Abo fto na fura przybroł do miasta.

A łojciec? Łon miol nos za nic. Dziecka były ino do roboty. Onuce ściongać, prać, łoficyrk czyścić. Łojca strzyc i golić – do tego były mu dziecka potrzebne. A matka – ino do roboty. Jo nikyj nie widziała, żeby łona s nami jadła. Ja, jadła pote, kaś z boku, jak se dziecka pojady, z gorca. Nale przy stole – to niy. Ino w Wilijo se pojady jak człowiek. Neprzód my, dziecka, musiely se pojeś.

A łojciec to nos bił i gonił. Mie, bo żech pyskowała, czymu nos tela je. Jedynostu! Jak żech miała dwadzieścia roków, to mie gonił i chcioł prac. Toż żech ta do łojców do Studzionki dugo niy jyżdżała.

Niy mieli do nos szacunku! Poniywyirali nami...

Prowda, że skuli tego, co łojciec był fešter, to my miysa mieli doś. Kaczek, hazoków z lasa stykło wdyczki. Tosz rechtory przychodziły rade na Hetmaniok, do Ludwika, coby cosikej zachachmyńci... Nale wtynczos padali, że sie to rechtorom noleży, bo nos łuczom, a my to psinco, za nic nos mieli. I łojce, i rechtory... Prali i ryczeli po nos, ino do roboty my byli... A hazoki na śwynta dło lepszych – urzyndników, rechtorów, dyrechtorów. Wdyczki sie jakisikej ciul trefił, co mu sie, pieronie, noleżało... Psinco sie jim noleżało... Take czasy szmotłowe były, pierucha... Nawet na fara wielebniczкови muter musiała posłać hazoka, coby miol nad nami smilowani, bo my chachary, a łon, farorz, śwynty, bo w keckach łaził kej stare baby i jarchanioły, pierzinie!

A Ludwikowi, łojcu mojimu, to inoś stykło położyć, i wszysko u feštra szło załatwić, na lewo... Jeeerroooniee... Wiele hań tego drzewa z lasa ludzie wywyzli, a niy popłacili... Postawili flaszka, pili, a drugi wywoził... Abo brali na krycha... „Ja, Ludek, wiysz, my ci to wrócymy!” – padali... Jo do teroski wiym, fto i co je mojimu łojcu winiyn, bo my skuli tego łokropno biyda mieli w chałpie. Ja, głód nos nie morził, prowda, nale tysz my nikaj niy pojeżdżili, psinco my widzieli! Inoś f tej starej chałpie przy lesie, w jednej izbie, z sypialniom i kamerlikem kole chlywa, ino tam my durś żyli. To był coły nosz świat... Jo wiyncy widziała, bo żech na torg jeżdżała do Pszczyny abo Rybnika... Nale moja matka nikaj nie chadzowała, chorowito była, bo nos tela było...

Spomniało mi sie, że roz łojciec kupił krowa, czyrwiono, górolka, kaś wele Żywca, miaowali jom Kalina, i ftoś ta łona musioł przykludzić do Studzionki. Fto to miol srobić? Jo żech była najstarszo, matka nikaj niy łażyła, ino w chałpie siedziała, a łojciec z flintom to sie pieron po lesie smykoł. Se ani łoni ło łonej kalymbie niy spomniał... Tożech szła stom Kalinkom bez dwa tydnie, niy za gibko, coby sie niy smarniała, boroka... Musiała se pojeść, tosz łokraczki z każdej miydzdy abo rantu były łod ni. Tak mie smykała. A bołach sie ji, bo pierzina była srogo, a muczała, fuczała kej stary kociel, abo dampfmaszy-na, pierzina! A kej sie boczyła, abo sie ji cosikej niy spodobało, to kopała i machała tym łonym łobyrtokem... A poś tukyj tako krowa, kej ino sie dziwać, dować pozor, kiery go-spodorz z widłami wylezie i nos pogoni. Nale widzieli dziolcha s kalymbom, a po wojnie biyda była, a ludzie tysz miyli wiyncy serco, niy jako teros, kieby cie radzi zaroski zawarli w hereszcie...

Niczym my byli, my, dziecka – kej se tak spomna. Ino do roboty nos gnali...

Łojciec siedzioł na rycze kej ksioże pszczyński, a my, dziecka, musieli my mu sebuwać łoficyrki. Onuce prac, suszyć... Nogi myć... Łon abo na ambonie, na rycze, abo cosikej w kamerliku siedzioł i rychtowoł... Kurzył ta swoja fifka abo se polywoł...

*Hilda robi pauza w godce, stowo, idzie ku bifyjowi, wyciongo
keluszki, stawio je na austisz. Łon je wielki, tosz je rozstawio
kieby kole ni siedziało kupa ludziów. Siado i klehce dali.*

Łostowmy te stare pieczki... Dyć trza dorobić klucz do dźwyrzi, bo jakbych umrzyła, to Jonek se niy do som rady, ale wy, wy łonego spomożecie, pra...

Niy, jo niy chca być chowano na łojcach. Jo mom do łojca żoł. Łokropny żoł. Jo sie snim nikyj niy zgodała... Łon nos nikyj niy powożoł... Mioł za nic... My, dziecka, byli ino do roboty...

Bez wojna... Jo ta wiela nie pamiyntom... Nale doczkej, spomino mi sie, kej zaros po froncie wszyscy baby łu nos nocowały. Czamu? Dyc to łu nos Rusy spowały – skuli tego, że mieli łu nos kwatyr w wielki izbie – a po nocach somsiadki wołałyby przisi do nos, spać w kupie przy kachloku w kuchni. Spać i sie wyspać. Bo w chałpie, jak niykiere same były, to strach, bo chopy jeszcze sfrontu nie przisli, a tu jakisikey marudyry po wsi łażyły... Strach był, bo taki chachary to poradziały nawyrzondzać... I ponawyrzondzały niykiyrym łonym, pierzinie... No a łojciec mój, Ludwik, to komyndant wsiowej straży był, łon tymi fojermanami dowodził. Komyndyrowoł i za starej Polski, i za tej nowej, ruski Polski. No a Rusy srobiłby sniego eszcze szołtysa, „tu żiwot gałowa sjeła”, naszkryflali na dżwiyrzach do naszej chałpy tymi swojimi bukwami. Tuż tymu te baby sie łu nos nie były spować. Ło nos, dziołchy, sie tysz matka nie boła... A łu nos jakisikey łoficyr ruski eszcze kwatyrwoł, niy ino byle jaki sołdaty, tosz my sie tam niy boli. Nale insze baby ze wsi to sie były... Ruskie sie chacharzyły snimi, to mosz praje... Niyjedna wyźniarka stego łonego łobozu, kero łuciykła Niyecom, kiedy tyn marsz śmierci szeł, łod Rusów swoji wycierpioła, pierzinie...

Stare pieczki, pierzinie... Durś przeszły... Dobrze, że sie pominyły ty łoszklive czasy... Ino niy śpiywejcie mi sto lot, bo to za niydugo, pierzinie! A Bóg wom zapłać, żeście przisli... A przidźcie zaś... Rada se s wami porosprowiom ło starych czasach...

Basia, cera moja, ni może tukyj przyjechać, w Niyemcach je, a tako rajza nie doś, co je festelnie droguczno, dyc eszcze by urlopu niy dostała... Po próżnicy by sie tukyj tarabaniła... No ja, prawda, łona je szporobliwo... Mo to po mie... Dzwoniła, to styknie... To rychtyk styknie... Pra, padocie, że mom praje, ja? Jakbych łumarła, to ftoś musi ji pomóc, Niyemcy daleko, tyn diosi Hanower. Nale s czegoś żyć trzeba...

Hilda chmajo rynkami we lufcie, kieby wygoniała łoszklive przitrefiynia, kere sie ji spomniały s jeji żywota. Chmajo, coby łonich zaboczyć, coby je kajsikuj podzioć...

Toż neprzód pijmy zdrowi... Polyj jim, Jonek, polyj, kiery czego kce, wina abo gorzoły... Ty niy śmiesz pić, bo sie ploncesz, kapka wypijesz i gupoty godosz... Ty niy śmiesz! Gupoty pota godosz... Przyniysz tej babowki... Jo se becherovki wezna, bo mie durś tyń żołondek skuli tych nerwów żgo, ty łone dochtory pedziały mi, coch je zdrowo, inoś mom nyrwica żołondka. Jako sie tukyj niy szterować! Fto sie Jonkem zajmie, jak sie pominia, kej ta z kosom ku mie przidzie... Pierzina!

Hilda biere flaszcza becherovki, kero łoroz znodła sie na austiszu, i juzaś rada se polywo – jedyn keluszek, pota wtory.

Grób mom wykupiony. Nale kaj indzy, niy wele bramy, kaj łojciec leży. Niy, jo je s drugi strony kościoła. Łojciec widzi strażnica, rafiok, kerym downi jeżdżyły fojermany, i tyn łon gasthaus Żródelko, do kerego łaził cołki žyci.

Hilda dziwo sie do wiyrchu, pota zaś na austisz i prozne keluszki. I pado dali.

Mom do łojca żoł, nikyj mu tego niy wybocza, co nami tak poniwyyroł, za nic mioł... Jakżech była starszo, to niyroz żech mu to wypyskowała... Czymu nos tyla je? Niyjedyn brat mioł do mie żoł, kiech mu pedziała w nerwach:

„A ciebie miało nie być!” Leś to dugo sy mnom niy godoł skuli tego. Inoś mu to Sławek wyerklerowoł, ło co mi szło... Co my sie mogli mieć lepi, co nami takuczno poniywyrali. Tosz sie sy mnom zgodził, nale niydowno... A tela roków przeszło!

Wiele mi eszcze ło stało? Przeca jo je tako chorowito, kej moja muter, skuli łonego zech se już grób sprawiła, we Studzionce, skond zech je... Tam byda chowano... Nale niy kole łojca, Boże broń... Łon mie mioł za nic. Dyc piyrszy mioł być synek, a niy dziółcha... Skuli łonego tysz przeżywoł, kiej mioł wypite...

Łojciec wdycki chcioł mie prać, gonił mie, nawet flinty na mie szukoł, kej mioł wypite... Myśłoł, feśter jedyn, że mie trefi kej jakigo hazoka? Psinco! Łuciykłach mu... Niyroz kie mi chcioł chaja robić, porwałach wuefymka łod Fridka, brata mojigo, i uciykłach, kaj mie ło czy poniosły, w las, na pola... Wyjeździć ta cało złość, kieroch miała w sobie, i żoł na nich, łojców... Łuczyl mi, że to grzych mieć żoł do łojców, nale czy poniywyrać dzieckami to niy je grzych?

Mom żoł do łojców... Nie chca s nimi leżeć w jednym grobie, nie chca być tam chowano! To je moja wola! Spamiyntejcie to, bo inacy przida po wos! Byda wos nachodzić i straszyc, pierucha!

Hilda łobraco sie i pado cosikej – choby do kieregoś – nale hań żodnego nima, je prozny plac.

Antek, czamu nie pijesz? Jonek, polyj mu... Ty ni możesz, ty gupie godosz nawet po jedynym! Zdrowi pijymy! Ftoś musi pić... Jonek, polywej, a niy rzygotej, pierzinie... Zdrowi, zdrowi pijymy! Dyc musza sie z gościami napić, pra...

Hilda dżwigo keluszek z becherovkom.

Sami sie obsługujcie! Biercie! Sami, nie chciyjcie, żebych wos obsługiwała...

Cicho teraz bydź, chopie! Jo godom!

Hilda z proznym keluszkem w rynce stowo. Leko sie usz kolybie, nale dyc mo gyburstag, pra. Łostatni... Dziwo sie na austisz – i tych łonych, kierych nima, niy przyšli. Nale jeji sie zdo, co łoni som, dyc łona snimi prawi – po prowadzie to ino łona do nich godo... Ino łona jich widzi, żodyn wyncy...

Powiyw wom teroski, jako my, wsiowi ludzie, byli w mieście traktowani. W mieście – za wiele pedziane. Dyc Strumiyn trocha wieli łod wsi Studzionka był, inoś padali, co to je miastyczko... Rynek niby tam je piykny, nale zaros za nim, pamiyntom za moich czasów, to ludzie gospodarzyli na polach... I gnojokami capioł. Wieli mi miasto! Dyc w Studzionce tysz momy rynek konsek łod knajpy, tego łonego Źródełka, co tam łojciec rod zaglondoł... Tosz jakżech szła do ciotki Mani i łujka Karła, do Strumiynia... a łoni ta mie-li pachołka, co tam jim krowy pos na tej grobli Sztolerowej... Biydny był i se przyrobił... Dwie mioł te krowy, jak je przygnoł, to mu dali wdycki dziadki jeś... Kole pieca była tako ławka, tam musioł czampnoń na ryczka i tam se jot... A jo była ze Studzionki, ze wsi, jo też musiała siedzieć stem pachołkiem... Kole stoła zech nie śmioła siedzieć, bo jo je ze wsi! A to przeca było miasto...

Tyn pachołek szolke mioł bez ucha, a jo też dostała bez ucha... Dyc jo była ze wsi... A przy stole nikey zech niy śmioła siedzieć, bo jo była ze wsi... A Strumiyn to było miasto...

Ojcowie, ja, ojcowie ta siedzieli przy tym stole, nale my, dziecka, my byli potympiani...

Późni, jakżech dorosła, to zech sie s nimi fest wadziła... A łoni chodzili na skarge na mie... Łujek przyszeł na skarga do mojigo łojca, że jo jich, ciotke i łujka, szpetniech sprzeżywała...

A jo jich niy oszczyndzała, padałach, że łoni nie som wert, coby jich świnynto zymia no-siła... A to skuli tego, że łoni dziecka ze wsi łokropnie potympiali. Tak to kiedyś ludzi ze wsi poważali, byli my niczem...

Niczem... Jo nikey nie śmiała ze stołu, kaj ujki siedziały, jeś... I gorczek musiałach mieć bez ucha... A chlyb taki ruby i tak ciynko posmarowany, no i kawa czarno, gorzko. I to było wszysko...

Hilda siado na ławie. Keluszek stawio wele sia. Myndykuje se.

Wiele mi to je? 87 roków... Toż mi już niy lata, ino dni som porachowane, dni... Pewno niywiele jich łoślało...

Łojciec łokropnie sie łudzieloł we straży i tam to je wszechno łopisane, w łonych kronikach, kere majom te fojyrmany ftem kamerliku przy remizie. Łojciec nimi komyndyrowoł za Starej Polski i zaroski po wojnie. Zakłodoł ta fojerwera, no i turnowoł tych pamponi, no bo dyc taki fojermom to musi mieć ruła i druk, niy śmij być zawałaty, pra. Jo byłach eszcze za młodo strzyga, coby być we straży, nale miałach hań karlusa, takigo łonego gryfnioczka. Jo żech mu fest przola... Nale łojciec mój, łon wdycy był nogły, kożdego gonił łodymie. Boli sie go, zwola łonego, co trzons całom wsiom... Pamiyntom, co sproł łonego synka, kej ino go dopot... i tak sie skończyły te moji zolyty. Miałach ło to łokropny do łojca żol...

Jak jo była młodo, to łojciec już mioł pistolet, prowda... Flinta mu Rusy zebrały... a zaroski potem UB go zawrzyło, nale to było kiejsikej po wojnie, kej te partyzanty tak grasowały – to przyjechali autem tam pod leśniczówka na Hetmanioku, i pamiyntom wtynchos nom koło wziyni... Ftoś widzioł, jak u nos jedzom i donios... Przyszło UB i zawarli łojca. Siedzioł doś długo... Jeżdżiłach ku niymu... Nale żodnego hań niy puszczałi... Koniami my jechali z Fridkem, bratem mojim, do łonego haresztu za sondem we Pszczynie.

Hilda juzaś chmajo rynkami we łufcie, kejby łodganiała cosikej.

Pierzinie, styknie tego rozprowiano... Jonek, polyj Antkowi, jo niy moga pić... Nale wy! Zdrowiczko, pierzinie! Jonek, ty zaś bydziesz gupie godoł...

Spomino mi sie, co moja mama poradziała wyłonaczyć rychtyk dobre wino, kero wdycy stoło na stole, nale inoś do gości... A przy płocie były szumne rołzy, jeronie, wiele jich tam rosło kole tych sztachet przy Polnej... Te łone rołzy rade se hań rosły, wiym, że matka dostała sadzonki łod łujka farorza – nie łumia se spomnieć jako sie mianowoł – kery był na misyjach kaś łu czornych. Te łone, rołzy, były blank żółte i blank modre, i blank czyrwione... Koždy sie dziwowoł, bo łu nikogo we wsi niy było takucznych fajnistych kwiołków...

Łojciec mioł gabinet, taki rychtyk wielki... Ty myślisz, że mu kiery z synków broł flinty? Ani nie śmioł ło te pomyśleć! Flinty stoły, kie żołdacy na apelu... Żodyn jich nie ruszoł!

Farorz? Niy, już tukyj nie przichodzi, mijo mie... Jo sie go spytała, czy wybudowoł już tyn alteshaim, co to ło nim kiejsikej prawil... Łon nato, że piniyndzy ni mioł, że niy dowali do koszyka, że niy stykło... Nale, pedziałach, na wasza chałpa w Wiśle stykło... Mie tam możecie wzioś... Wyncy sie już tu nie pokozoł... Bobych my jeszcze ło tych siostrach pedziała – na pierona im tako wielko chałpa, niech to biydokom dajom...

A ty se myślisz, że matka to sie przejmowała, kiery s nos pokończył jaki szkoły? Dyc to jo wszyskim łażiła do rectorów na wywiadówki! Moja matka nikyj tam niy szła... Gospodarka była, padała. Trza było robić, coby nos wyżywić. A łojciec sie smykoł z flintom

po lesie. Abo po muzykach. To mu stykło... Łon wiedzioł, jak żyć, jak sie bawić. Kej na cysarskim, po leku, reszta jakosikej sama przydzie... Łon sie ta nyy staroł ło to, co bydzie jutro... To my, dziecka, robili na polu i przy chałpie...

Dziwej sie, tyła nos było, biyda w chałpie, a żodyn sie, pierucha, nie schacharzył... Żodyn, możne Ludek, brat mój, kierego baba wyciepla, kej sie wyinkszy łochlapus sniego srobił... Nale łonemu gorzołeczka wdyci smakowała, pierzinie, smakowała, no i do bitki był chyntny, kej łojciec – genau to samo... Tosz nyy po proźnicy łoni łoba sie jednako mianowali. Łoba byli richtig podani do sia... Nale żodyn s moich bratów, ani Antek, ani Ludek, ani Sławek, ani Fridek, ani Lełoś, nyy narobił łostudy, ani nyy łostoł jakisikej zło-dziyjem. Boj sie Boga! Żodyn. Wszyscy na ludzi wysli, skuli mie, dyc to jo łaziła jim po szkołach. Dbałach ło to, coby mieli jaki zawód. Jeden łostoł szewcem, inny stolorzym, nastympny spawoł piece... Z dziołchami taki łużyry nie było... Suchały mie, bo jo była najstarszo... Nale chopcy, jak to synki, wdyci cosikej tam spochali... No i se chcieli po leku żyć, kej łojciec. Muzyka, flinta i do lasa, smoleć wszysko i ku tymu kapeczka gorzo-łeczki. I nima Ludwika, poszeeeeł...

Muzyka... ja, to łojcu stykło... Jak nyy polowoł, nyy komendyrowoł fojyrmanami, to broł bymbyn, na kerym stoło srogimi literami: „Cześć muzyce”, i szeł na weseli... Jedno, drugi, trzeci... Ludwika wszyńdzi znali i radzi go sproszali... Wdyci cosikej wesolego zaśpiywoł, a klechcić pieron łumioł do rymu i to nasze, i barzi sprośne piyśniczki... I za-grać poradzioł na wszystkim, som mioł jeszcze mandolina, i trompyjtki, i akordijon... Biyda w chałpie była, nale ksiożki i muzyka były nojważniysze. Ino że łojciec był som do sie, do swoich kumpi, a nyy do nos, dziecek, dlo nos ni mioł czasu, my byli inoś do roboty w polu abo przy niymu... I to styimi kolygami urzyndowoł, łaził na wesela, polo-wania... Kaj go nyy było! Wszyndy...

A to jo go niyroz musiała wozić, i to se spominom, jakzech go z Pszczyny miała przy-wiż... Mroz, jo na rynku czekom w saniach s koniami, a łon pije w gasthauzie... W koń-cu wyłoz, siado, jadymy... Mróz, ślisko... I w Porymbie jak mi nyy wyskoczy ze saniów, i do knajpy... Juzaś... A mie jak nyy wywinyło... I juzaś zech musiała marznonć i czekać. Bo jo zech ni mogła tam wlyż... Jeszcze by mie zeproł, teli był nogły pieron...

Biyda... Kej matka uszporowała piniondze, i sie zapożyczyła we wsi, Ludwik pojechał kupić chałpa... Ja, pojechał... I przyjechał, z psincem przyjechał... Ani chałpy – a u góra-li mioł jom zamówić, ani piyniyndzy – te matka musiała potem wracać bez cołki lata... I srom na lata skuli łojcowego prowadzynio sie...

Nale Ludwik patroł na to wszysko po leku, mioł to w rzici... Dlo niego liczyła sie straż, muzyka i gon... A nyy chałpa i dziecka...

A tym mojim bratom to jo byłach kej matka. A teroski łoni nyy majom do mie czasu... Nie pamiyntajom tej biydy, co była... Nie spominajom se, co matka padała... A godała, że jeszcze sie bydymy szukać po świecie, kej sie łoni łoba z łojcem pominom...

Tak prawiła...

*Hilda biere keluszek i łobraco sie hań tam, kej mo siedzieć
jeji chop. Nale ino łona łonego widzi...*

Tosz, Jonek, polyj... Basia nyy przyjechała, nale łona ta mo robota, łona musi se dować rada s tymi Turkami ftem barze, kaj robi... To nima tak po leku... Łonej szef nie do urlo-pu... Łon sie lynko tych ciymnych... A łona dyc je kawał baby, pra... Splajtowoł by bez ni...

Nala cygarety, cygarety som strasznie drogi ftych Niymcach, a łoni wszyscy kurzom, łona kurzy, chop kurzy, dziecka kurzom... I ftoś na te łony, cygarety, musi robić, pra... Tam życi kosztuje, niy tak jak łu nos... Łu nos te łony, cygarety, nie som taki rychtyk drogi, jak ftych łonych Niymcach. A łona, Basia, pado mi, że ino niymiecki poradzi kurzić, polskich cygaretów niy. Bo jom dźwigo, a dyc niy śmiy sie byle jakim dziadostwem truć, pra? Prowda godom, Jonek, niy?

Możne Basia przyjedzie na mój pogrzyb... Mom już łobsztalowany plac na studziyńskim cmyntorzu, wele wyjście z kościoła... Niy kole łojca, niy s nim, łon mie niy powa-
żoł... Mom do niego żoł...

Hilda łodkłodo keluszek na stoł. Usz mo doś – nale niy gorzołki, inoś życio...

Tosz, Jonek, polyj Antkowi! Ty nie śmiesz pić, ty gupie godosz, jak se co chlapniesz, pierzinie... Niy, Antek, nie polywej mu... Jeeeroooooonie, co jo byda miała za użyra w nocy stym chopem! Jonek, ty nie śmiesz pić... Ale Antkowi polyj... Dyc nie wiymy, kiej sie tukyj do kupy jeszcze zyndymy, pra?

Nale teroski juzaś Hilda biere keluszek do rynki.

Polyj, Antek, bo jo umrzym... Czują to... Przidzie po mnie, tak jak po Fridka, Ludka i Leona... Jo je nojstarszo, po mie piyrso musi przisć, ta pieronizna z kosom... Przed niom żodyn nie łucieknie, Toniczku, żodyn... No ja, ty żeś miał szczyści, łod małego... Pora razy żeś sie na janiola dziwoł. Trzy zawały, herzklekot, łoperacyjo kryngosupa, teroski cukier. Dziwejsie, wiela tych łonych bolonczków na cia przyszło, biydoku... Ja, styknie ci tego... Mioleś szczyści, żeś dali je s nami...

Tosz polyj, Antek, coby my sie niy wadzili, a zanim ta łona z kosom przidzie, sie zgodzili... Tosz polyj, bo jo ci była kiej matka, najstarszo, wdycki żech sie ło cia starała. I kiejś w szkole pochoł, starała sie, co s cia bydzie... I kiejżeś kurzył cygarety przy krowach... I jakeś nie chcioł sie wyluczyć za kowola, toch ci padała, a s czego żyć bydziesz? Pamiyntosz, pra? A w wojsku, jak cie wziyni, to kto ku ciebie przyszeł, spominosz se? Dyc mie za matka twoja wziyni te wojoki posmolone, twoji kamraty! Dyc to je prawda, mogła bych by niom być, bo żech je s dwadzieścia roków starszo... I wdycki żech sie łocia starała... Ło wszystkich wos... Bo matka schorowano była, nikaj niy szła, niy miała siły. I zemrziła... Pamiyntocie...

Jo sie tysz straca, łobejrzycie... Ino mie na łojcu nie chowejcie, mom do niego żoł... Mom do niego straszny żoł...

Robi sie cima, wszysko sie fest zećmiywo. Wszysko sie traci f cimoku...

CHOP ÔD MOJIJ BABY

Marcin Melon

GRAJŌM:

ERWIN (*chop ôd Any*)

ANTOINE (*chop ôd Any*)

ANA (*baba ôd Erwina i Antoine'a*)

BERCIK

BINA PIYRSZO

Miyszkanie ôd Any i Erwina. Stół, telewizor, tapczan, na nim jakoś deka, wele tapczana szrank i ajs-szrank. Erwin (cosik wele Abrahama, ôbleczony w zmarszony tresek i galoty, z kerych zwisajōm mu holzyntregle) włazi na bina, ôtwiroy ajs-szrank, stoi i filuje choby cielok na masorza. Yntliś wyciōngo z kapsy mobilnioka.

ERWIN (*do mobilnioka*):

Ana? Suhej... Ja, to jo godōm. No jo, Erwin! Twōj chop! A fto? Wiele mosz chopōw? Wiym, żeś je zajynto. Katać bych do ciebie dzwonił, jakby to niy było cosik richtiś ważnego! Suhej... Możesz godać? Jo cie źle słysza! Możesz wyłyż na plac na chwila? Jo wiym, coś je w robocie! Ino na chwila! To je richtiś ważne. No, ja... Dej pokōj, dyc psincio jij bydzie. Jo to rozumia, musisz dować pozōr na ta ōuma, nale jak na chwila jōm ôstawisz, to psincio jij bydzie. To je naprowdy ważne. No, gibko, babo, wiysz ty wiele jo zabula za ta godka w roamingu? O, terozki cie lepij słysza. Te, Ana, suhej. Tyś mi godała, co żeś ôstawiła mi kajś karminadle, ja? Kaj ōne som? No, prawie zech patrzoł do ajs-szranku i nikaj ich niy widza... Te, a można do mie to je ważne, co? Można mōm prawie smaka na karminadla? Co, już niy moga mieć ani smaka na karminadla? Na piyrszym fachu, ja? Nale na piyrszym ôd wiyrchu? Żodnego zilbra sam niy widza. Niy rycz po mie! Co jo je? Mało ci, co żeś mie ôstawiła samego, wziynła żeś i pojechała do roboty do tego swojigo Paryża? Ja, robisz pierōnym epno kariera, bo dowosz pozōr na jakoś staro ōuma! Ja, ciś do nij nazod, bo zaroz ci pitnie. Kōżdego dnia tysiōnc francuskich ōumōw pito z doma! Ty sie siedzisz z tōm ōumōm, alujesz sie, a jo co? Som sie musza zakupy robić, łachy biglować i sprzōntać i jeszcze mōm pamiyntać, co je kaj w doma? Te, jo je ino chop! Inksze chopy przilażōm do dom i majōm wszysko narichtowane, a jo to co?! Mie to je gańba sie prziznać, co som sie musza biglować galoty, bo moja wziynła i pocisła weg do roboty! Co? (*coroz to głośnij, bo sie nerwuje*) Jo niy pōda do żodnyj roboty, jo mōm swoja penzyjo! Ja, wiym, że ino pomostowo! A fto potrzebuje tela piyniandy? Ty abo jo? Abo to jo durś wajōł, co na nic mie niy stykać? Bo tyś sie ubzdurała, że musisz do fryzjera łazić! Jo jakoś niy łaża! Co, może zaczniesz tyż do kosmetyczki łazić? Fto to widziōł, coby baba we twojim wieku tak sie sztiglowała, choby hampelman. Miała żeś mało piyniandy, toś pojechała do roboty, żodyn ci niy kozo! A terozki jo

na tym ciyrpia, bo ani niy wiym, kaj sôm te pierônske karmina... Ana?! Ana?!
Jeżes tam? Jerôna, rozlônczyła sie...

*Erwin wraŹuje mobilnioka nazod do kapsy, dziwo zaś do tego ajs-szranku. Filuje,
jak to Erwin, choby cielok na masorza, bo Erwin to tak po prowadzie je trocha
cielok. Za chwila zaś wyciôngo mobilnioka i wybiyro numer na kneflach.*

ERWIN (*do mobilnioka, ino terozki chyto go poczta głosowo*):

Ana? To zaś jo. Widza, co żeś wylônczyła mobilnioka. BeztôŹ co niy chcesz zy
mnôm godać, ja? Suchej, niy gorsz sie na mie. Jo sie niy chca wadzić. A ô te kar-
minadle to sie już ani niy starej. Prawie mi sie spômniało, co żech je zjod we
czworteck. BeztôŹ nikaj ich niy ma. No to co? Już sie na mie niy nerwuj, dobra?
Przaja ci, wiysz? Jeszcze trzi dni i zaś bydziesz nazod. Już sie niy umia doczekać.
(*ftoś klupie do dŹwiyrzy*) Musza kończyć, bo ftoś klupie. Jak bydziesz miała wol-
no chwila, to szkyrtnij do mie, ja?

Erwin ôdmyko dŹwiyrze. Ftoś stoi na siyni.

FTOŚ:

Dobry, jo sie mianuja...

*Erwin gibko zawiyro dŹwiyrze. Drałuje do telewizora, wyciôngo kable ze sztekdôuzy.
Biere telewizor, kładzie go na zol, wyciepuje jakeś lachy ze szranku i wraŹuje
do niego telewizor. Wtynczos drałuje nazod do dŹwiyrzy i zaś je ôtwiyro.*

ERWIN:

Ja, dobry.

FTOŚ na siyni:

Jo sie mianuja Antoine. Moga wlyŹ?

ERWIN:

Po jakiymu? Mocie nakaz? Jak rozchodzi sie ô abonamynt, to jo niy môm tele-
wizora, beztôŹ niy musza płacić.

FTOŚ:

Jaki abonamynt? Jo nic niy pedziôł ô żodnym abonamyncie. Chca pogodać z wami.
Wyście sôm Erwin Michniok?

ERWIN:

A fto sie pyto?

FTOŚ:

Jo sie mianuja Antoine. Przyjechôłech do was ekstra z ParyŹa, coby z wami po-
godać. Rozchodzi sie ô waszo baba.

ERWIN:

Ô Ana? Nale co je louz? Ana mi ô żodnym Antułanie nic niy godała.
*Antoine włazi na bina. Modszy ôd Erwina ô dobre poranoście lot
i bardzij szykowny. Czorno oberhymda, binder (taki bônny, po
modzie), szaket z latami na rynkôwach i wyglancowane szczewiki. Mo
tyŹ bryle, nale niy take ańfachowe, ino tyŹ take bardzij po modzie.*

ANTOINE:

No, to mie niy dziwi, co psinco wôm ô mie godała.
Antoine filuje na Erwina choby na ôbroz.

ANTOINE:

Musza pedzieć, co żech tego sie niy spodziywōł. Pierōn wiy, co ta Ana w ciebie widzi...

ERWIN:

Te, synek! Ino niy byđż frechowny! Pchosz mi sie do chaupy, ani żeś niy pedziōł ftoś ty je, a terazki mi nazdowosz!

ANTOINE:

No, a fto jo moga być? Dyc chyba żeś wiedziōł, co twoja Ana mo chop, pra?

ERWIN:

No, ciynżko, cobych niy wiedziōł, kej jo żech je jejij chop.

ANTOINE:

Godōm ô jejij ślubnym.

ERWIN:

Jo tyż!

ANTOINE (*trocha zeszerowany*):

Poczkej, poczkej. Jo czegoś niy chytōm. Ciebie sie zdowo, co kaj Ana je terazki?

ERWIN:

Kaj? W robocie! Prawie żech z niōm godōł. Wachuje takij ōumy w Paryżu. Mo ōziym ojro za godzina. Jedzie hań na dwa tydzie, a potym zaś na dwa tydzie przeżdżo sam nazod na Ślōnsk.

ANTOINE (*napoczyno sie chichrać*):

Ana? Wachuje jakiś staryj ōumy? Chciōłbych to widzieć! Poczkej, poczkej, mie sie to dziepiyro terazki klaruje wszystko! A kaj według ciebie Ana bōła wczorej we wieczōr?

ERWIN:

Tyż w robocie, a kaj?

ANTOINE (*durś sie chichro*):

To je ale ciekawe! Bo wczorej we wieczōr jo żech z niōm siedziōł i pili my wino na Champs-Élysées.

ERWIN:

Niy rōb mie za bozna, bo ci pizna! Mōm nadzieja, co godosz ô inkszyj Anie!

ANTOINE (*wyciōngo bajtlik, a z niego zdjyncie*):

Godōm ô tyj Anie, kero sie za mie wydała łōńskiego roku.

ERWIN:

Jerōna, dyc to je moja ślubno! Co je louz?! Katać ōna mo dwóch chopōw?! Dyc to je...

ANTOINE:

Bigamio.

ERWIN:

Ta fuchtla! Ta motyka! Jo jōm zabija... Ta hekxa pierōńsko! Cōłki czos mie cyga- niła! Udowała, co do roboty jeżdżi! A jo, borok, ani niy mōm karmina...

ANTOINE:

Dej pokōj, chopie, niy ma sie co nerwować. Terazki widza, co Ana zrobiyla nos ōbu za bozna. Kej żech jechōł tukej na Ślōnsk, chciōłech znojs tego gizda,

z kerym ôna mie zdradzo. Gibko zech pomiarkowôł, co te jejij rajzy do dom co dwa tydnie, coby dować pozôr na niymocno matka, to je pierônowe cygaństwo. Yntliś zech prziszôł ku tymu, co je drugi chop, do kerego ôna jeździ. Wiysz, jo je tyż samstônd, ino jeszcze za bajtla cōłko naszo familjo wykludziła sie do Francyje. No to zech sie pedziôł: pojada na tyn Ślōnsk, coby zoboczyć tego gizda, z kerym ôna mie zdradzo. Bez cufal zech znod twōj numer w jejij mobilnioku. Nojprzôd zech sie znerwowôł, pomyślołech sie: ta fuchtla, ta motyka, heksa pierôńsko... No, wiysz, to samo zech pomyśloł, co i ty. Nale yntliś zech sie uholkoł i wysznupôł, kaj miyszkosz. Pedziôłech Anie, co jada na pora dni do ônkla do Normandy, a wziônech i przyjechołech tukej. Ani zech niy wiedziôł, kogo sam znojda. Myślołech, co przidzie miyndzy nami do chaje, nale terozki (*zas zaczy-no sie chichrać*), terozki, jak widza takigo boroka jak ty... to... ani niy poradza sie nerwować... ino chce mi sie śmioć...!

ERWIN:

Te! Jo je richtiś chop, a niy taki mamlas francuski choby ty! Jak ty w ogôle woniosz?! (*chyto go za kragel i prziciōngo bliżyj, coby go powoniać*) Jakeś francuske parfyny! Choby kot sie zejszczôł! Powoniej mie, tak wonio richtiś ślōński chop! Pot i piwo!

ANTOINE (*wonio*):

Tyskie, pra?

ERWIN (*zdziwowany*):

Jaaa! Widza, żeś ôd razu wywonioł...

ANTOINE:

Jo tyż pija tyskie. W każdym markecie u nos przedowajôm.

ERWIN:

To poczkej, kej już my prziszli do tego, co mōmy jedna i ta sama ślubno i sôm my rade tymu samymu piwu, to możno sie napijymy. Siednij sie, Antôn, dej, naleja ci. (*wyciōngo ze szranku dwie kufki i nalywo piwa, siado na tapczanie, Antoine wele niego i napoczynajôm pić*)

ANTOINE:

Niy gorsz sie na mie za to, co zech ci pedziôł. Z tych nerwów zachowuja sie choby niy jo. Na zicher Ana cosik musiała u ciebie zoboczyć...

ERWIN:

To już bydzie dwajścia piynć lot, jak sie znōmy. Dwajścia piynć lot i terozki ôna mi taki numer robi... Tak po prowadzie to myśła, co nojprzôd to poleciała na geltag grubiorza. Bo wiysz, jo cōłke życie zech robiył na dole. Wiysz, jak robisz na grubie, zowdy jakoś frela znojdiesz. Downij to była pewno robota. A ty kaj robisz?

ANTOINE (*biera wielgi haust piwa*):

Jo? Wykłôdôm.

ERWIN (*frechownie*):

Aaa, jaaa. To na zicher mocka zarobiosz. Beztôż cie, boroku, ani na ancug niy stykać, ino mosz dziurawy. Padosz: wykłôdosz. (*udowo kasjera na kasie w markecie, kery wykłodo towor na taśma, przesuwo, skanuje i wydowo klang, choby tyn skaner*) A kaj to wykłôdosz?

ANTOINE:

Na Sorbonie.

ERWIN:

U nos niy ma takich sklepōw. Jo do Aldi zawdy łaża na zakupy.

ANTOINE (*po godce idzie pedzieć, co już trocha ôżarty*):

Sorbona to niy ma sklep, ino uniwersytet. Wykłōdōm historia sztuki.

ERWIN (*zdziwowany i tyż trocha ôżarty*):

Ach, zou... To tyś je, widza, Antōn, wybuildowany karlus.

ANTOINE:

Myśla, co skuli tego Ana na mie dała pozōr. Kej my zolycili, siedzieli my w naszym restojrancie na Champs-Élysées, pili my wino i ôsprowiali my ô sztuce.

ERWIN (*zdziwowany*):

Fto?! Ana?!

ANTOINE:

Toć. Brołech jōm do Luwru i inkszych muzyjōw. Niy godej, co żeś niy wiedziōł, wiela ôna wiy ô sztuce i ô literaturze. Dyc ôna kończyła licyjum plastyczne. My sie z Anōm zgodali skuli Alberta Camus. Ana je richtiś rada tymu, jak Camus filowōł na cōłke nasze żywobycie. Świat bez przōnio bōłby psinco wert, tak mi godała...

ERWIN (*szczyło macha, kero godo, co cosik mu sam niy sztimuje*):

Poczkej, tyś je Antōn, blank gryfny karlus, wybuildowany, mosz dobro robota i jeżeś ôd Any modszy ô... No, tak po prowdzie tobyś mōg robić za jejij bajtla...

ANTOINE:

A, dej pokōj, dej pokōj. To je ino dwanoście lot.

ERWIN:

Niy, no, prawda godōm. Ino niy umia spokopić, po jakiymu tyś sie niy znod jakijś młodszyj i gryfnijszyj frelki...

ANTOINE (*sebylko bryle, kuko na gipsdeka i wzdycha romantycznie*):

Niy ma gryfnijszyj... Jak sie spōmna, jak ôna wyglōndo...

ERWIN:

Ô to sie rozchodzi, co jo tyż pamiyntōm, jak ôna wyglōndo. W tym fortuchu i laciach i... no, niy gorsz sie, nale jakbyś mi niy pokozōł zdjyncio, tobych myślōł, co godōmy ô inkszyj babie.

ANTOINE:

A jako ôna je wyzgerno...

ERWIN (*wylynkany*):

Kaj wyzgerno? Ô czym ty godosz?

ANTOINE:

Chopie, jak ôna mi knify roztomajte pokozala... Terozki to widza... Jak jo jōm trefył piyrszy raz – a to już bydzie sztyry lata – jo zech richtiś małowiela umiōł.

ERWIN (*po cichu, som do siebie*):

No, ja... Sztyry lata bydzie, jak ôna rajzuje do roboty do tyj Francyje...

ANTOINE:

Jak sie tak myśla, to wtynczos to jo zech psinco wydziōł ô seksie. Ôna mie wszyskiego nauczyła!

ERWIN:

Te, jo tego niy byda suchō!

ANTOINE:

A jaki ôna mo temperamynt! Dej pokōj, Erwin. Tak miyndzy chopami, kej już pijmy te piwo: wiela razy wyście to robili?

ERWIN:

No... Roz... Abo dwa razy...

ANTOINE:

Bo my to nojmynij dwa razy!

ERWIN:

Na poczōntku to można i ze trzi razy w tygodniu...

ANTOINE:

W tygodniu? Jo sie pytōm, wiela razy na dziyń...

ERWIN:

Ach, zou... (*desperacko wlywo w siebie cōlko kufka piwa*)

ANTOINE (*po godce idzie pomiarkować, co już je fest ôzarty*):

Te, Antōn...

ERWIN:

Poczkej, dyc tyś je Antōn, a jo je Erwin...

ANTOINE:

A, no ja... Te, Erwin, i co my terozki zrobimy?

ERWIN:

Nale z czym?

ANTOINE:

No z naszōm babōm. Wiysz, ôna mi fest ukrziwdziła, ale jo jij przaja zouwizou. Niy ôstowia jij. Nale co z tobōm? Bydziesz musiōł sie poukłodać swoje żywoby-cie bez nij. Poradzisz?

ERWIN:

A po jakyimu jo? Dyc jo bōł z niōm żeniaty, kej tyś jij ani jeszcze niy znōł. Tak po prowdzie to wasz ślub ani niy ma ważny, w każdym gerichcie ci to pedzōm...

ANTOINE:

No ja, nale dyc wiysz, co jak bydzie musiała wybiyrać, to ôna wybiere mie. Jo żech je modszy i trocha bardzij szykowny... I geltağ tyż mōm fajniejszy.

ERWIN:

A jo mōm z niōm bajtle!

ANTOINE:

Richtiś? Kaj?

ERWIN:

No, jednego synka. Mo dziewiynoście lot i przekludził sie do akademika.

ANTOINE:

To już niy ma taki bajtel, kej poszōł na swoje.

ERWIN (*markotnie*):

Mosz recht, ôna wybiere ciebie... Nale co jo bez nij zrobia? Dyc jo sie som niy umia dać z niczym rady... Ty sie poradzisz znojś inkszo... Modszo, gryfniejszo...

A jo? Kaj jo byda szukōł sie nowyj libsty na stare lata? Te, Antōn, można byś mi jōm ôstawił?

ANTOINE:

Nale przeca żeś godōł, co ôna je fuchtla, hyrpa i motyka.

ERWIN:

Iiii... Wiysz, koždy mo jakeś wady.

ANTOINE:

I niy zawodzo ci, co ôna cie tela lot cyganiła?

ERWIN:

Ciebie tyż cyganiła, a chcesz jij wyboczyć... Dej, poleja ci jeszcze. Antōn? A co my sōm tak naprowdy jedyn do drugigo?

ANTOINE:

No, myśla, że rodzina. Dyc mōmy jedna i ta sama baba, pra?

ERWIN:

Pierōnym tradycyjno ślōnsko rodzina. Pij, chopie, na trzyżwo tego niy szafnymy.

BINA DRUGO

Trzi dni niyskorzyj. Erwin i Antoine lotajōm po chaupie choby pofyrtane. Erwin terozki galantnie ôbleczony, w bioło oberhymda, ukłodo zegōwki na tapczanie.

ERWIN:

Jerōna, ôna za chwila sam bydzie. Muszimy być fertiś. Poczkej, jak ôna zowdy te zegōwki ukłodo? Jak cosik bydzie niyrichiś, to zaroz sie pokapuje. Pamiyntosz, jaki je plan?

ANTOINE:

Ja, mōmy wszystko ôbsztalowane. Jo sie schowia, a ty napoczniesz z niōm godać. Wtynczos jo wyleza i zoboczimy, jak zareaguje. (*ôdpino mu wiyrchni knefel u oberhymdy*) Niy śmiesz zapinać wszystkich knefli, Ana je rada, jak mosz ôdpynty.

ERWIN:

Czekej! Kery dzisiej je? Jerōna, trzinosty! Niy mogymy dzisiej z niōm godać!

ANTOINE:

Po jakimu niy? Bo bydymy mieć pecha...?!

ERWIN:

Niy, ino że ôna prawie mo te dni...

ANTOINE:

Jake zaś dni?!

ERWIN:

No, wiysz... Płaczki-muki-i-szkamrany.

ANTOINE:

Płaczki-muki-i...? Aaa! Płaczki-muki-i-szkamrany! No i co z tego, że płaczki i muki?

ERWIN:

Terozki z niōm ani niy pogodosz, ô wszystko sie bydzie zaroz ciepać!

ANTOINE:

No i co? Jo mōm chować sie po chaupie bez pora dni, aże jij przeńdzie?

Ftoś klupie do dźwiyrzy.

ERWIN:

Gibko, chow sie! Na balkon!

ANTOINE:

Przeca ty niy mosz balkonu!

ERWIN:

To do szranku! Gibko, właż do szranku. (*wyciōngo telewizor ze szranku, coby zrobić plac Antoine'owi. Antoine chowie sie do szranku*) Już ôdmýkōm! Poczkej! (*ôdmyko dźwiyrze*)

ANA (*włazi rajn, stowio rajzyntasza na zolu i sebyko mantel*):

Jezderkusie, jo żech już myślała, co kożesz mi stoć na siyni! Siedzisz sam, psinco robisz, ani dźwiyrzy niy poradzisz ôdewrzić!

ERWIN (*po cichu*):

Jo to wiedziōł...

ANA:

Co żeś wiedziōł? Psinco wiysz. Wetna sie, co żeś dwa tydnie siedziōł, ślepōł piwo i ôglōndōł poseblykane frele. Ani żeś sie ôbiodu niy uwarzył! No, co tak stojisz choby leluja? Dej ta rajzyntasza do drugij izby, bo zaroz ftoś sie ô nia ôbali! (*idzie ku szrankowi, coby powiesić mantel*)

ERWIN (*zastowio jij droga*):

Niy! Do szranku niy!

ANA:

Bo? Po jakiymu niy?

ERWIN:

B...bo mōm bajzel.

ANA:

Wszandy sam mōsz bajzel! O, zaś żeś te zegōwki źle pouklōdōł! Tak ciynżko spamiyntać, jak sie zegōwki uklōdo? Co, zaś ci sie urwōł knefel? A niy, mosz go. (*zapino mu wiyrchni knefel przy oberhymdzie*) To po jakiymu żeś go ôstawił ôdpiyn-ty? Tak ciynżko pozapinać knefle? I oczywiscie żeś niy wykłupōł tepicha! Niy do sie, pra? Na zicher ani niy wiysz, kaj je kloper! Chopie, co byś ty bezy mie zrobił? Pōnknij sie, chca powiesić mantel na bigel do szranku.

ERWIN:

Nale... niy śmiysz...

ANA:

Erwin, co je louz z tym szrankiem? Kogo ty tam chowiesz? A można ty mie zdradzosz, co? (*chichro sie*) Godej, mosz tam jakoś libsta w tym szranku? Keroś dała pozōr na takigo grynclu? Godajōm, co stare chopy majōm wzyncie. Ino chyba niy take jak ty, pra, chopeczku? (*dowo mu nojbardziej protekcyjnalnego kusika, jakigo sie ino umicie forsztelować*) No, moja gryncluła żeś je. A terazki sie pōnknij.

ERWIN (*znerwowany*):

Ty, wiysz co? Można i jo je kōncek... hmm... zaruściaty, nale... Kej jużeś napoczła godka ô zdradach, to... Ana, jo wiym!

ANA (*ôroz wylynkano*):

Co ty wiysz?

ERWIN:

Jo wiym ô NIM.

ANA (*siado na tapczanie, fachluje sie choby ôroz zrobiły jij sie fest gorko*):

Jezderkusie, Erwin. Naprowdy?

ERWIN:

Ja. Wiym, co mosz inkszego szaca.

ANA (*zakrywo ôczy, choby chciała sie zasuć pod ziymia*):

Jo żech chciała ci pedzieć. Niy chciała żech ci ukrziwdzić. Tako gańba, Erwin... Jezder... Jo zaroz byda mieć hercszlag, już môm hicywele... W gowie mi aże tōmpie! Suchej, jo to poradza wytuplikować. Jo żech ino chciała sie poczuć cho-by modo frela. Erwin!

ERWIN:

Niy, no, jo do niego nic niy môm. Trocha my pogodali. Musza pedzieć, fajny karlus.

ANA (*zdziwowano*):

Co ty godosz? Ty znosz Bercika?!

ERWIN (*ryczy*):

Bercika?!?!?!?

Na bina (bez ôdemkniynte dźwiyrze) włazi Bercik. Kudły choby papagaj, dwajścia lot, wiyncyj niy, galoty i tresek, baseball mycka w rynce, adidasy.

BERCIK:

Jo!

ERWIN:

Ty?!?!?!?

BERCIK (*chichro sie*):

Te, Ana, jo padôm: „jo!” a twôj chop spokopił, co jo pedziôł, że jo to jo. Śmieszne!

ANA (*chyto sie za gowa*):

Bercik, jo cie prosza, zawrzij sie. Godała żech ci, co mōsz ino pomôc mi z rajzyntaszôm i ôstać na siyni. Fto ci kozôł sam włazić?

BERCIK:

Dyć przeca żech słyszôł wos mie wołać...

ERWIN:

Fto to je?!? Wiele ôn mo lot?!? Dyć tyś je pedofilka!!!

ANA:

Erwin, to je Bercik. Bercik je rok starszy ôd naszego Pyjtra. Robi tyż w Paryżu, co dwa tydzie rajzujemy razem na Ślōnsk. Zgodali my sie, no i wiysz... Tak sie to napoczło... Przi nim czuja sie zaś choby modo dziôuszką...

ERWIN:

Rok starszy ôd naszego Pyjtra?! Ty sie ônaczysz z takim modziokiem?! Co z ciebie je za motyka?! Tyś je gorso ôd tego... No, jak ôn sie mianuje?!

ANTOINE (*ze szranku*):

Gorso ôd Trumpa!

ERWIN:

Gynau! Tyś je gorszo ôd Trumpa! Při ciebie Trump to sie ani niy może stanōńc!
Při ciebie Trump to je choby klosztorno panna!

ANA:

Erwin, kogo ty tam chowiesz w tym szranku?!?

ANTOINE (*wyskakuje ôroz ze szranku i napoczyno sie ciepać*):

Ty fuchtle! Ty motyko! Ty mokwo! Ty hyrpo! Mało ci było dwōch chopōw, to żeś
sie jeszcze szaca znodła?! Ty...

ERWIN (*do Antoine'a znerwowany*):

Antōn, ustōń! Godōsz do mojij baby!

ANTOINE:

To je tyż moja baba! Ta fuchtle! Ta motyka!

ERWIN:

Niy rycz po mojij babie!!!

ANA (*chyto sie za gowa*):

Jezderkusie! Mon Dieu! Ponbōczku! Antoine, co ty tukej robisz?!

ANTOINE:

Co jo sam robia? Co jo sam robia? Miyszkōm tukej! Ja, miyszkōm tukej ôd trzech
dni. Z mojim kamratym, Erwinym. Niy, niy kamratym. Poczkej, jak sie godo na
chopa ôd swojij baby?!

ANA:

Chopy, siednijcie sie! Muszymy sie wszyscy uholkać i pogodać, tak ôd serca.

ERWIN:

Toć. Czekōmy. Ciekawe, jak nōm to wytuplikujesz.

BERCIK (*biera mobilnioka ôd Erwina*):

To je twōj smartfon? Moga zoboczyć, jake mosz apki?

ERWIN, ANTOINE i ANA wroz:

Ja, pobow sie!

BERCIK (*chichro sie i napoczyno sie bawić mobilniokiem ôd Erwina*):

Fajnie!

ANA:

No i co terazki bydzie?

ERWIN:

No właśnie! Tyś narobiyla ôstudy, to terazki czekōmy z Antōnem, aże nōm po-
wiysz, co dalij!

ANA (*frechownie*):

Jo narobiyla ôstudy?! Jo napochała, ja? Ino jo? Richtiś? A wy to niby co? Take świyn-
te, ja? Świynty Antonik? I świynty Erwin? Wy naprowdy psinco wiyecie ô babach!

Erwin kuko na Antoine'a, Antoine kuko na Erwina.

ERWIN:

My? A co my napochali?

ANA do ERWINA:

A niy prziszło ci do tyj tympyj gowy, że jakbyś niy bōł tako gryncbuła, tobych sie
niy musiała ôglōndać za inkszymi chopami i ani bych niy wejrzała na Antoine'a?

Wiele razy żeś mie wziōn do tyjatrū? Wiele razy żeś zy mnōm pogodōł ô literaturze? Wiele razy żeś napisōł ô mie wiersz? Ani gupich kwiotkōw mi niy kupisz! Do ciebie baba sie nadowo ino do warzynio, biglowanio i sprzōntanio. A terozki jeszcze czekosz, aże ci prziniesia geltag w ojro! A ty? (*do Antoine'a*) A ty sie niy mosz co tak asić! Jakby ci richtiś na mie zależało, tobych już downo ôstawiła Erwina i bych ôstała ino z tobōm! Wiele razy żeś mi wiyszōł nudle, jako to jo zech niby do ciebie ważno? Psinco prawda! Jakbych była tako ważno, tobyś downo ciepnōł robota i przekludził sie zy mnōm na Ślōnsk! Prziszło ci do gowy, jak jo sie czuja w tyj Francyi? Cōłki czos choby jakoś boroka ze Wschodu, jakoś imigrantka, co znodła sie bogatego chopa, kery wykłodo na Sorbonie! Wiysz co? Jo mōm kajś ta twoja Sorbona i twojich sztydyntōw! Jo bych chciała sie poczuć nojważniejszo w twojim cōłkim życiu! W życiu Erwina zech je nojważniejszo! Tyn borok to sie bezy mie z niczym niy umi dać rady. Jo wiym, co ōn mie richtiś potrzebuje. Dyc tyn ciućmok ani niy wiy co kaj je we chaupie. A ty? Do ciebie jo je zowdy numer dwa. Wy tego richtiś niy poradzicie spokopić?! Jo je nowoczesno ślōnsko baba! Jo mōm roztomajte potrzeby! A jak do was to je za wiele, to jo potrzebuja wiyncyj jak jednego chopa! Jo już mōm tego wszyskigo dość! Niy chca was wiyncyj widzieć! (*napoczyno ślimtać*)

BERCIK (*pokazuje Erwinowi jego mobilniok*):

Moga zaszpilać w ta gra na twojim smartfonie?

ERWIN, ANTOINE i ANA wroz:

Zawrzij sie!!!

Siedzōm trocha po cichu, ino Bercik gro i chichro sie sōm do sia.

ANTOINE (*po cichu do Any*):

Musza pedzieć, co mosz recht... Jak tak na to wejrza...

ERWIN:

Ana, suchej... Jo sie zmiynia. Byda ci warził i sprzōntōł. I pōdymy do tyjatrū. W Korezie grajōm terozki fajno sztuka...

ANTOINE:

Pōdymy we trzech... Jo cie niy ôstawi, Ana. Jo poszukōm sie roboty na keryjs uczelni tukej i przekludza sie na Ślōnsk. Tyś je ważniejszo jak cōłko Sorbona i moje sztydynty...

ANA (*udowo, że ślimto*):

Jo niy wiym... Sama niy wiym...

ERWIN:

Ana, jo ci przaja, jo bez ciebie niy poradza żyć...

ANTOINE:

Jo tyż ci przaja, wiysz ô tym...

ANA:

Jo nad tym musza pomyśleć. Terozki chca trocha ôdreagować po cõłkij rajzie. Bercik biere mie do klubu. Byda nazod rano. Bercik, idymy. Bercik, ôddej Erwinowi tego mobilnioka!

*Ana i Bercik idõm weg. Erwin i Antoine siedzõm i filujõm
jedyn na drugigo. Żodyn niy wiý, co pedzieć.*

ANTOINE:

To jo wezna i powysylõm trocha maili, zobocza, eli je sam jakoś robota do mie...

ERWIN:

Toć, zobocz. A jo... A jo można posprzõtõm... (*biere do rynki pilota*) Bydzie ci zawodzac jak puszcza telewizor? (*włõnczo*)
(*godka we telewizorze*)

REPORTER:

W swojej pracy skupia się pan na roli tradycyjnej śląskiej rodziny.

EPNY PROFESOR:

Rodzina na Śląsku jest święta! W tym tradycyjnym modelu kluczową rolę pełni kobieta. To ona strzeże wartości, to ona zawsze przekazywała wiarę w Boga i w polskość. Śląskie żony i matki z pokorą i radością pełnią rolę służebną, świadome, jak istotne jest zachowanie tego modelu...

ERWIN:

Te, Antõn! Jo zgasza ta lajera, ja?

ANTOINE:

Ja, ja, zgaś!

Erwin gasi telewizor. Koniec sztuki.

PSZONIE...

JAK TO LEKO JEST PEDZIEĆ!

Bożena Donnerstag

SCENA I

2017 rok. Dwie kamratki 40+ siedzą na ławce wele stawu, pod drzewym.

BASIA:

Toż miałaś cufal i jada sie flygować. Kofer spakowany, bilet na cug kupiony, jutro na wieczór fruuiu do Kołobrzegu, niy byda nic robić ino łązić po piosku, kompać sie w Bałtyku i czytać romany. Biera ich połno, coby te trzy tydzie w sanatoryju przetrzymać.

DORKA:

Ale ci bije na dekiel. Ty już naprowdy musisz sie dychnąć, bo gupoty godosz, ażegodosz! Fanzolisz jak pomigano! Jakie romany? Jakie czytanie? Ty niy wiysz po co sie tak dugo czeko na tyn sanatoryj? A i tak sie werci czekać nawet i trzy lata!

BASIA:

No ja, wiył! Czeko sie, bo kupa ludzi je w raje, coby jechać do sanatoryju z NFZ. Ty mie chyba chcesz fest łobrazić!

DORKA:

Jaaa, jo ło niczym innym niy myślą, ino żeby cie łobrazić. Do sanatoryju jeździ sie na chyt!

BASIA:

Co ty zaś godosz za farmazoni! Jaki chyt?

DORKA:

Jak to jaki chyt? Normalnie: chopi chcom chycić baba, a baby chopa!

BASIA:

Jo nawet niy chca tego słuchać, co ty prawisz. Przeca wiysz, że jo niy szukom chopa.

DORKA:

Ale możesz przeca spróbować. Kto ci broni? Zowždy możesz go ciepnać, jak pojedziesz nazod. Na banhofie pomachosz mu taszyntuchym haftowanym, ino trocha łosmarkanym i adieu! Koniec romansu, jedziesz do dom. A za trzy lata zaś nowy galan. To je życie!

BASIA:

Kule bele, coż ty godosz. Skąd ty to wszystko wiysz, przeca żeś nigdy nie jechała do sanatoryja! Chytać chopa... Co ty padosz!

DORKA:

Mom kamratki, co boły i nazod przyjechały fest zadowolone.

BASIA:

Ciekawe kiere kamratki. Jo ci jakoś niy wierza!

DORKA:

Na tyn przykład... Grażynka!

BASIA:

Niy! Łona przeca durś w kościele siedzi i rzyko.

DORKA:

W Szczawnicy niy rzykała. I jeszcze Margota.

BASIA:

Co? Łona? Margota przeca ledwo z nami godo, bo tako cichuśko je, a łona na chyt jechała?

DORKA:

Cicho woda, Basia, cicho woda z tyj naszym Margoty.

BASIA:

Tyla lot sie znomy, a jo ło tym nic niy wiym.

DORKA:

Bo nigdy niy pytosz! Jo ci godom, jutro rano polecymy jeszcze na sklepy, lajstniesz sie pora nowych kłajdów, te romany wyciągniesz z kofra, a szaty zapakujesz. I szczewiki na kromfleku, a nie ino kłapki!

BASIA:

Możno mosz recht. I godosz, że Grażynka... I Margota...

DORKA:

Mom recht. Wiysz, że jo mom zawsze recht, bo żech je starszo! Zoboczysz, że czeko cie wielgo przigoda!

SCENA II

1942 rok. Dwie inne kamratki (17-19 lat) siedzom na ławce przed chałpom kajś na wsi. W tle widać góry. To Bajery.

ROZA:

Agnes, jo niy moga tego szafnąć, co ty chcesz jechać nazod do dom. Przeca widzisz, że tukej niy ma tak źle. Jo wiym, wszystko je już poukłodane, ale można zostaniesz?

AGNES:

Roza, jużech ci godała tyła razy. Mie potrzebują doma. Mamulce cosik wlaźło w plecyska, oma prawie nic niy widzom, bratki na wojnie. Toż to jest i tak cufał, że moga z tych Bajerów jechać do dom.

ROZA:

Tukej tyż je robota. I chlyb, i masło, i mlyko. Skąd wiysz, że w doma bydzie co do gymby wsadzić?

AGNES:

Ale przeca dobrze pamiyntosz, że robimy dło Nymców. To wróg! Wola u mamulki głodować, niż tukej siedzieć.

ROZA:

Jaaa, uhhmm... Jo i tak wiym, że uciekosz, bo pszajesz Ginterowi!

AGNES:

Wcale że niy! Jo mu niy pszaja, to jest szwab! Niymieć! Wróg!
Agnes zaczyna beczeć i wyciągać kichol sznuptuchym.

ROZA:

Dyć już niy ślimtej. Jo to wiym przeca, że niy wiysz, co teraz robić. Ale wiym tyż, że Ginter ci pszaje. Jak łon za tobom patrzy. A jaki teraz je smutny.

AGNES:

Jaaa... Łon przeca durś za mnom łazi i pado, że jak ino sie wojna skończy, to sie ze mnom łozyni. Ale to przeca niy je żodno bajka, to tak niy może być, że jo sie za Nymca wydom. Choćbych niy wiym jak mu pszoła, co powiedzom w doma. A pamiętosz ze szkoły „O Wandzie, co niy chciała Nymca”? A jo mom chcieć?

ROZA:

Coż ty za głupoty prawisz, o tyj Wandzie to boło downo, aże niyprowda! Wojna bydzie mieć drabko fajrant. Tukej jest tak piyknie: góry, lasy, chałpa. A niy ino te familoki, hołda i gruba bez łokno. I tyn Ginter do tego. Nic ino żyć, pszoć i ło niczym niy myśleć!

AGNES:

Ja, Roza, ty czasem to godosz jak pomigano. Piyknie, niy piyknie, teraz je wojna i jo jada do dom. Czekać na mie. I już ani słowa ło Ginterze!

SCENA III

2017 rok. Izba w bloku. Dzwoni mobilniok Dorki. Odbiero.

DORKA (*do mobilnioka*):

No toż nojwyższy czas! Jo sam czekom i czekom, a tyś wyfurgła nad morze i ani słowa! Jo sie niy umia placu znolyżć, a ty sie niy łodzywosz już pora dni!

BASIA (*słuchać jak godo na głośnomówiącym*):

Jo wiym i cie strasznie przeproszom, niy gorsz sie, ale nawet niy wiysz, co mi sie stało...

DORKA:

Jezderkusie, co sie stało? Jeżeś choro, leżysz w lazarycie?

BASIA:

Jakby ci to pedzieć. Dora, tak jakby żech je choro... na serce!

DORKA:

Zawał! Mosz zawał? Jada tam!

BASIA:

Niy! Niy! Niy musisz przyjżdząć! Źle mie zrozumiałaś. Bo wiysz co... Jo chyba pszaja jednemu chopowi, kerego żech tukej poznała. Beztoż te serce.

DORKA:

Jo niy moga! Przeca tyś dopiyro tam je dziysiyńć dni! Tak gibko?

BASIA:

Jo sama niy wiym, jak to sie stało.

W mobilnioku naroz słyszać szlagier „Przez twe oczy zielone oszalałem...”.

DORKA:

Kajś ty je? Słysza, że cosik leci. Disco polo?

BASIA:
No ja. Somy na tańcach. Łon tak na mnie wejrzoł, żech sie nie mogła łobrocić,
bo wszyndzie te jego ślypia widziałach.

DORKA:
Tyś je fajno! A godałach ci, niy bier romanów, ino szaty! I wercioło sie!

BASIA:
Ja. Ale jo ci jeszcze jednego niy pedziała. Bo wiysz, tyn mój karlus to je Niy-
miec... z Bajerow.

DORKA:
Ale taki echt Niymiec, co po niymiecku szwargoto? Niy taki polski Niymiec?

BASIA:
Taki niymiecki Niymiec.

DORKA:
Przeca ty niy godosz po niymiecku. To jak?

BASIA:
Dorka... Wiysz, jak sie komuś pszaje, to nie trza godki.

DORKA:
No ja, mosz recht. Ale toś niy je ty! Nikt mi niy uwierzy!

BASIA:
Jo sama sobie niy wierza. A łon je taki gryfny. I młodszy łody mnie. I godomy po
angielsku, dowomy rada. I durś somy razym, jak ino mom wolne.

DORKA:
Mie sie zdowo, że ty mi jakiś film łosprowiosz. Ale wiysz, że za dwa tydnie je-
dziesz do dom?

BASIA:
Ja. Pamiyntom. I terozki co z tym pszoniem zrobić...

DORKA:
Normalnie: do cuga, sznuptuch i adieu!

BASIA:
To sie tak niy do, jo tak niy umia. Przeca mnie znosz.

DORKA:
Na razie nic niy myśl, bow sie, a potym sie zoboczy. A teroz musza już lecieć.
Trzym sie!

BASIA:
Ja, trzym sie, Dora, ida do mojego Petera. Łon beze mnie je taki borocek.

SCENA IV

1942 rok. Kajsik na Bajerach, przed chałpom na wsi w górach.

GINTER:
Roza! Roza! Podź sam ino!

ROZA:
Jeżech już, jeżech. Wieprzkom żech futer dowiała.

GINTER:
Zostow już te wieprzki, musimy ino pogodać!

ROZA:
Ale jo niy moga z wami godać.

GINTER:
Wiy, wiy, ale przeca godomy o futrowaniu wieprzkow, to możesz...

ROZA:
No ja. Żeby ino wasz fater niy widzioł, że stoja i nic niy robia.

GINTER:
Jo sie ino chciał ciebie zapytać. Agnes cosik pisała do ciebie?

ROZA:
No ja, pisała. W doma jest przy mamulce, jechała cugiym z przesiadkami, ale dojechała.

GINTER:
A ło mnie? Ło mnie cosik napisała? Pytała?

ROZA:
No pytała. Ale jo niy wiy, czy moga godać!

GINTER:
Roza, mosz mi tu zaro pedzieć, co ci w brifie napisała Agnes ło mnie. Pszaje mi jeszcze? Czamu do mnie niy pisze?

ROZA:
Łona sie mnie spytała, czy Ginter niy mo jaki nowyj lipsty. I czy jom pamiynto.

GINTER:
Jako nowo lipsta? Jako nowo lipsta? Jo za Agnes welta niy widza, gór niy widza, jo by to wszystko w pierony ciepnoł i do niyj pojechał!

ROZA:
To zrobcie tak, Ginter! Jedźcie do niyj.

GINTER:
Wiysz, że terozki niy moga, bo roboty kupa, a łojciec stary. Ale... Ty Roza mo-
żesz jechać! Jo ci to wszystko pozałatwiom, papiory, auswais. Pojedziesz i przy-
wieziesz mi Agnes.

ROZA:
Łona niy bydzie chciała. Jo już z niom kiedyś godała

GINTER:
To łony powiydz, że jak niy przyjedzie tukej nazod, to ciebie zawrzom do here-
stu, abo i co gorszego sie stanie. Mie już je wszystko jedno.

ROZA:
Ale to niy je prowda z tym herestym? Jo jom przywieza, łona wom bardzo psza-
je, ale terozki je wojna i Agnes niy chce pszoć.

GINTER:
Jo wiy, że je wojna, ale tyż sie kiedyś skończy. A Agnes bydzie moja i szlus!

SCENA V

2017 rok. Basia i Dora siedzą w izbie i piją wino.

DORKA:

Toż łopowiadej, co było dalej. To choby jako bajka! Pojechałaś na dwa tygodnie na Bajery do chopa, kerego poznałaś piyńć tydni tymu! Łon musi być gynał nyy z tyj zyyml!

BASIA:

Nyy wyył jak ci to pedzieć. Na tych Bajerach u Petera duży my łosprowiali, szpacyrowali i zaś łosprowiali. Łon mi tak fest pszaje, tak fest pszaje, że to je nyy do łopisania!

DORKA:

Ty go wcale nyy znosz! To je cudzy chop, znosz go pora dni i już wyyisz, że łon ci pszaje? Można za dziyń, dwa nyy łodbiere łod ciebie mobilnioka, bo znojdzie inno gupio z Polski.

BASIA:

Bo jo ci jeszcze musza cosik wyznać. Łon mi doł już ring z łoczkiymi, patrz! (*pokazuje palec*) Chcyył sie łožynić!

DORKA:

Jo nyy moga! Ty sie chyba ze mnie nabijosz! Jak to łožynić? A tyś pomysłała chwila o Wandzie?

BASIA:

Jeronie, nyy znom żodnyj Wandy. I co łona mo do mojego ślubu?

DORKA:

Jak to co mo? Jak to co mo? Nyy pamiyntosz ze szkoły tyj Wandy, co nyy chciała Niyemca i wołała sie utopić? A ty nyy dość, że nyy znosz niymieckiego, prawie nyy znosz tego Petera, to jeszcze umisz pływać i sie nyy utopisz, jak bydziesz z tyj skały skokać. Ja wyył, terozki mi sie wszystko pomiyszało, ty nyy bydziesz skokać. To z nerwów wylazłach z siebie!

BASIA:

Dora, jo wyył, że to je moja drugo połowa. Jo z nim chca być, bo jo nyy je żodnom Wandom. Jo je Basia i chca fest mojego Niyemca Petera. Zoboczysz, jak go poznosz, że to nyy dość, że gryfcok, to jeszcze dobry chop. I mi pszaje! A żyniyył sie na przyszły rok u nos.

DORKA:

Pożyjyył zoboczyył. Można Wanda miała recht, że skoczola do rzeki. A możno mogła łožynić sie z tym Niyemcym. I żyliby długo i pszoliby się. Kto to wyy?

SCENA VI

1943 rok. Mały banhof na Bajerach.

AGNES:

Przyjechałach do ciebie, Ginter, a Roza została. Po coś tela cyrku robioł, dziolcha wystraszo, że pódzie siedzieć, a ty żeś mie chcioł tukej nazod mieć.

Po co ci to było, i tak sie nyy łožynia z tobom.

GINTER:

Agnes, Agnes... Jo to wszystko wiym, przeca je wojna i jo jest twój wróg, szwab, i co ino chcesz. Ale przeca mie znosz, jo niy chciół tyj wojny, a gewery mnie brzi-dzom. Tukej jest spokojnie, ino te góry i lasy. Poczekosz do końca wojny, a po-tyt sie łożyniymy. Przeca mi pszajesz, a jo tobie tyż. Tyś je moja połówka jab-ka, ino żeś blank daleko spadła od tyj jabłoni. Muszymy być już na zawsze tukej. Jo i ty, moja Agnes.

AGNES:

Piyknie żeś to pedzioł, Ginter. Mosz recht, można ta Wanda, co niy chciała Niy-m-ca, niy miała racji.

GINTER:

Jako Wanda? Jo niy znom żodnyj Wandy. Tyż robiola na Bajerach?

AGNES:

Jo ci ło niyj wszystko opowiyim. A terozki mi dej kusika. Zostana już tukej z tobom.

SCENA VII

2018 rok. W domu u Dorki, dzwoni mobilniok.

DORKA:

Halo, halo, Basia? No jeżech już! Pomywałach krom i niy słyszałach jak dzwo-niołaś! Dojechaliście to do domu?

BASIA:

Ja. Somy na miejscu! Pamiyntej, że jo żech jest terozki Barbsien, a niy Basia. Mój Peti tak do mnie godo. Niy mosz pojyncio jaki łon je gupi za mnom!

DORKA:

Mom pojyncie, bo żech to na własne łączy zoboczyła na ślubie. Udoł ci sie tyn Peti jak mało kiery.

BASIA:

Jo wiym. I powiyim ci, że tukej, w Niymcach, ckni mi sie za całkom familiom, za tobom, za mojom starom robotom, za kamratkami. Nawet za tom zmierzłom ba-bom z warzywnioka. Ale jak łon jest wele mnie, to wydowo sie, że wszystko po-leku bydzie tak, jak mo być. Znojda sie nowe kamratki.

DORKA:

Ło starych niy zapominej!

BASIA:

No ja, mosz recht! Znojda sie inne kamratki, nowe somsiadki i robota. Można tukej tyż bydzie jakoś zmierzło sprzedawaczka w sklepie. Ino sie tego niymiec-kiego musza na zicher nauczyć, bo jak byda sie z tom sprzedawczkom wadzić?

DORKA:

Że tyż ci sie chce na stare lata do szkoły łązić. Jeronie, mie by już nic do gowy niy wlażło!

BASIA:

Jo sie boja, że mie tyż nic niy bydzie wlażyć. Ale co żech ci jeszcze chciała pe-dzieć... A wiysz, że jo tu nawet mom z kim łośprowiać po naszymu? Jo sama w to niy umia uwierzyć. Dej sie pozor: oma łod mojego Petera mo już chyba prawie

ze sto roków, ale jeszcze z niyj je wyzgierno baba. I sznapsa sie napije, i połospro-
wio. Łostatnio boły my same w doma. Jo wiy, że z niom po angielsku niy po-
godom i ino sie do niyj śmieja. A łona naroz do mie godo: Dziołszka, tyś tyż niy
chciała być Wandom, jak jo?

DORKA:

Co ty mi prawisz? Ta starka łod Petera tak pedziała? Po naszymu? Ale to jest
onmyglic!

BASIA:

Jo do niej godom: Jakom Wandom? A łona:

Tom, co niy chciała Niymca. Myślałach, że sie łobala na tepich. I oma Agnes łopo-
wiedziała mi swoja bardzo romantyczno historia ło tym, jak niy chciała Niymca.
Bo łona tyż boła dziołchom łod nos! Forsztelujesz sie to? Opa Ginter łod mojego
Petera tyż sie wzion ślonsko dziołszka. Tak jak terazki Peter! To je przeca znak!

DORKA:

Jo jest ino ciekawo, wela jeszcze jest takich Wandow, co niy chciały Niymca. Prze-
ca we wojna to bele co mogło być. To terazki bydziesz durś z tom omom Agnes
godać i sie nic niy nauczysz po niymiecku.

BASIA:

Niy bydzie tak źle, łona pedziała, że mie wszystkiego nauczy, bo mo jakiesik knif
do gibkiego uczynio! A terazki leca warzić łobiod! Oma mo smak na żur żyniaty.
To ścisom cie mocno i kusiki posyłam!

DORKA:

Jo tyż! I pamiyntej: zowždy możesz przyjechać do dom. No wiyś, do tyj swoi
zmierzły sprzedowaczki i do mie!

BASIA:

Wiy, wiy, Dora. A chciałach ci jeszcze pedzieć, że oma mo tako staro płyta,
i tam jest taki szlagier łod Szczepanika „Pszonie... jak to leko jest pedzieć”, wiyś co?

DORKA:

Ja, wiy, znom to!

BASIA:

My tego durś z Agnes słuchomy! Bo my nojlepi wiy, czy to jest tak leko pe-
dzieć, że komuś pszajesz. I to po niymiecku!

DORKA:

Zarozki sie tyż to puszcza! To wyściskej tam swoja nowo familio. Widzimy sie
na Wilijo!

GROVE METAL BAND

JEDNOAKTÓWKA PO ŚLŌNSKU (*co by niy godać – romantycznō*)

Krystian Gałuszka

PLAC: kuchnia we familoku

PERSONY: Mutra, Fater, Mody

BINA PIYRWSZO

MUTRA, FATER

FATER:

I co robi terozki twōj synek?

MUTRA:

Nasz synek, stary, nasz.

FATER:

Jak tak patrza, to niy wiym, czy ōn je mōj.

MUTRA:

Bo śypia mosz przepite. Przeca ōn mo macha kej mōj szwiger.

FATER:

No ja, mosz recht. ōn cołki czos mo tyn gyfil kejby mōj stary, kej po ciymku naprany przyłaził doma.

MUTRA:

Gupielok z cia. Kej żeś mōg widzieć, jaki miōł gyfil, kej było ćma?

FATER:

Już jo tam widzioł. Gyfil gyfilem, a tyn podciep, godej co kcesz, choby niy mōj. Leber z niego kej nasz farorz, co nic niy robi, ino ryzyko i gro w skata.

MUTRA:

Ty ōstow farorzyka. ōn je ōd tego, coby ryzykoł, a to, żeś przegroł z nim pōł geltagu, to ino skuli tego, żeś je gupielok. Nale to ci już padała. Niy wiysz, że z nim niy idzie wygrać, bo przeca ōn mo bliży do Pōnbōczka niż ty.

FATER:

Kobiyto, ty sie słyszysz? Fanzolisz choby gupio Anna ōd Kleciokōw. Farorz godo z Pōnbōczkiym, coby wygrać zy mnōm i Ojgynym w karty? Mosz ty rozum?

MUTRA:

Biblia godo, że Bōg do to, ō co do niego ryzykosz.

FATER:

Staro, ty żeś cołkym zgupła. Co mo Pōnbōczek do kasyna? Co ōn je jaki krupier? To je tak samo pitōmne, kej wciskanie bioło-czerwonych fanek do figurki Kystusa. Myślisz, że wtedy Jezusik bydzie nojbardzi pszoł Polokōm, kere bydōm najgryfniejsze karlusy na cołkiym świecie, a take Germańce, Czechy abo Ruskie to w ōczach Pōnbōczka bydom boroki nad borokami?

MUTRA:

Jo nikaj fanek niy wciskōm.

FATER:

No ty niy, nale twōj śwynty bracik Stanek ja, a kej go suchōm, to wylazi na to, że Marika, Jōsef i Jezusik richtich byli Polokami.

MUTRA:

No ja, a rzykanie, kejby Ruch wygrōł z Legiōm, je mondre, pra? Przeca wiymy, że Bōg kibicym Ruchu je najwienkszym, niy?

FATER:

No chyba.

MUTRA:

Ty mosz ipi. Terozki to widza. Kaj jo miała ôczy, zech za cia wyszła? I mosz recht. Tyn twōj synek, co ino sucho tyj zbereżnyj muzyki, to niy je twōj, ino briftrigera.

FATER:

Kerego briftrigera?

MUTRA:

Jezusicku, ale mie żeś pokorōł gupim chopym!

FATER:

Ja, mosz recht. Chopym gupielokym i lebrym synkiym. Ôd lukatego briftrigera.
Mody włazi do kuchni z klangôryngłami i zonenbryłami na gowie, siado przy stole, klupie palcym ô blat i godo do sia.

MODY:

SO-POT SO-POT SO-POT

WLAZUJE SIE TUKEJ TUKEJ TUKEJ

KLUDZI SIE TUKEJ TUKEJ TUKEJ

PRZIŁAZI SIE TUKEJ TUKEJ TUKEJ

WCISKO SIE TUKEJ TUKEJ TUKEJ

MŌM SO-POT W SZRANKU

MŌM SO-POT W LODŌWCE

MŌM SO-POT W HAŻLU

NO I W RZICI RZICI RZICI

INO NIY MA GO W MOJI GOWIE

INO NIY MA GO W MOJI GOWIE

INO NIY MA GO W MOJI GOWIE

SRA LA LA LA LA LA LA LA LA LA

SRA LA LA LA LA LA LA LA LA LA

BINA DRUGO

MUTRA, FATER

Furczynie Fatra.

MUTRA:

Stary, już byś mōg przestać. Glyndzisz jak starka, kej szukała gybisu. Szczimać niy idzie.

FATER:

Przeca jo nic niy godōm.

MUTRA:

Kaj tam! Jeżeś cicho, ino uszy wyyndnōm.

FATER:

Godōm, że nic niy godōm! Ale cicho niy byda. Ty i twój przedniōk, libling muti. Nale trza pedzieć prowda. W ōczy. I jo to godōm. Wychowałaś nōm miglanca.

MUTRA:

Jo wychowała miglanca? Nōm?

FATER:

Godōm. Roz i drugi:wychowałaś nōm miglanca!

MUTRA:

Jezderkusie. Co jo słysza!?! Tyś je już tak gupi, że chobyś dostał nudelkulōm w tyn łysy łeb, toby nic niy pomogło, bo przeca w pusty bani ino wiater dmuchō i ōd prania po nij wylatuje daklami. I coś tam pedzioł? Że jak? Że nōm? Cha! A kaj ty żeś bōł, pierōnie, kej jo chowała modego? Na wczasach?

FATER:

No mōm cie. Godosz choby jo.

MUTRA:

Kcesz pedzieć, że mōm tyż pusto bania?! Chyba ci richtich przywała nudelkulōm!

FATER:

Niy nerwyjs. Jo ino padōm, że godosz choby jo. Niy wadzisz sie zy mnōm, że tyn mody pierōn je miglanc, co to mo w rzici robota, i cołko reszta tyż w tym samym miejscu. Ino chatrusisz sie ō nos. A co do nos, to ja. Richtich. Ty i jo terozki mōmy problem. I jes to problem, jak to godajōm mōndrowate rechtory,

P-R-Y-N-C-Y-P-I-A-L-N-Y.

MUTRA:

Skōnd ty znosz take słowa?

FATER:

Proste, kobyto. Moja bania niy je pusto, jak żeś pedziała. Ino pełno. Można niy blank pełno, boby my tu tera niy siedzieli, ino tak trzi ćwierci. I stōnd wiym, coch godōł. Mōmy problem P-R-Y-N-C-Y-P-I-A-L-N-Y! I niy wiym co robić. Kedyś wszysko było proste. Chop szoł do roboty na gruba abo do werku i jego bajtel tyż szoł na gruba abo do werku. I jego bajtel tyż szoł...

MUTRA:

Dej pokōj z tymi bajtlami. Wszyjscy wiedzōm jak było, ino terozki to, co nasze ōjce poōtwiyrali, ōni pozamykali i wszysko huśtło.

FATER:

Ja, ino jo niy ō tym. Kedyś robota wszyscy mieli w zocy. Taki hajer mioł era. Robota i kamraty go prościyli. No i baba. Chop wiedzioł, że mo iść do roboty i gel-tag przyniś abo mutrze, abo swoji. A dzisiaj co? Wyncy ludziōw nic niy robi niż robi. A te, co jeszcze robiōm, płacōm na ōbibokōw. Tyn ōżyrok z drugigo sztoku z tōm swojōm cycatōm ojlōm nic niy robiōm, ino pijōm. Potym robiōm dzieci. A potym zaś pijōm. A te dzieci ōd nich lotajōm jak rombniynte. Kto to widzioł, coby zegzioły bajtel gryzoł kokotek?! Kokotek z mesingu! Forsztelujesz sie to?

MUTER:

Jerona, kajżeś to widzioł?

FATER:

No kaj? W haźlu. Kej tak dali pódzie, to bydymy musieli sie stōnd wyniys̄. Nale niy ô tym. Ino idzie mi ô naszego bajtla. Jo już niy umia na niego patrzeć, jak łązi po kuchni choby zombi. I nic niy robi. Już majtać rynkōm na robota, tera tako moda, że synek miyszko w doma u ôjcōw tela, wiera wlezie, nale poszōłby na dziołchy abo fuzbal. A ôn nic. Z tym wybiglowanym dekl̄ym ino sucho tego lar-ma z tych gabli na gowie. Kej ôn mo wszysko w rzici, jo tyż go tam mōm! I szlus!

MUTRA:

No niy godej tak. To przeca nasz synek. Karlus w końcu sie pozbiyro i bydzie lepi. Zoboczysz.

*Mody włazi do kuchni z klangôrynglami i zonenbrylami na gowie,
siado przy stole, klupie palcym ô blat i monodeklamuje.*

MODY:

IDYMY

GRUBA WOS NIY ZEŻERE

IDYMY

ANI NIC

IDYMY

NIY

CHOPY IDYMY

NIY

NIY

NIY ZDECHNIECIE

NIY

NA DOLE

NIY ZDECHNIECIE

GRUBA WOS NIY ZEŻERE

NA DOLE

ANI NIC

BINA TRZECIO

MUTRA, MODY

MUTRA:

Synek, zjydz sie. Tu mosz żymła i ajntopf.

MODY:

Ja muter, ja muter.

Synek kiwo gowōm, prawōm rynkōm jy ajntopf, a lewōm pod stołym zwyрто po mobiloku.

MUTRA:

Wiysz, fater brōncko sie.

MODY:

Ja muter, ja muter.

Synek kiwo gowōm, prawōm rynkōm jy ajntopf, a lewōm pod stołym zwyрто po mobiloku.

MUTRA:

Jo mu musza dać recht. Ty nic niy robisz. Ty niy wiysz co to je robota. W doma u sia w izbie mosz hasiok. Cołki czos siedzisz przy tym komputrze abo mobiloku. Ty cołkiym zgupniesz.

MODY:

Muter, muter, przestońcie zaś. Niy prziszło wōm do gowy, że jo tyż robia, ino in-
aczy niż wy?

Synek kiwo gowōm, prawōm rynkōm jy ajntopf, a lewōm pod stołym zwyрто po mobiloku.

MUTRA:

A cōż takigo to robisz?

MODY:

Myndykuja.

*Synek kiwo gowōm rōd, prawōm rynkōm jy ajntopf,
a lewōm pod stołym zwyrto po mobiloku.*

MUTRA:

Myndykujesz?! I to wszystko?!

MODY:

I pisza wiyrsze.

Synek przestowo jeść ajntopf, nale lewōm rynkōm pod stołym zwyrto po mobiloku.

MUTRA:

Wiyrsze! Jezderkusie! Ty żeś choby gorol, abo gorzi, buzerant. Można richtich ty byś sie poszoł na jake zolyty? Ta Hyjdla z piyrszego sztoku ôd Paterokōw je gynał. Frela choby z ôbrozka. Ino ôna cie moge wyretować. No ja, ino ôna.

MODY:

Ja, ja. Ta ôd Paterokōw.

Synek prawōm rynkōm chyto sie za gowa, a lewōm pod stołym zwyrto po mobiloku.

MUTRA:

Ty musisz cusik z sobōm zrobić, bo inaczy pudziesz raus. Suchosz mie? Ty słyszysz co jo do cia godōm?

MODY:

Ja, ja muter.

Synek kiwo gowōm, prawōm rynkōm jy zupa, a lewōm pod stołym zwyrto po mobiloku.

MUTRA:

A jo widza, co ty mie niy suchosz, mody, ino durś po kneflach lotosz na mobiloku.

MODY:

Muti, przestōńcie. Suchōm wos. A tyn mobilok niy mo knefli, bo to je smart mobilok.

*Synek kryńci gowōm, prawōm rynkōm wywijo łyżkōm,
a lewōm pod stołym zwyrto po mobiloku.*

MUTRA:

Możno fater mo recht. Z ciebie nic już niy bydzie. Jo do ciebie godōm, a ty mie robisz za bozna. Mie, twoja muti, kero żech ôziym godzin sie mynczyła, aż żeś prziszoł na tyn świot. Ôziym godzin umiyrania!

MODY:

Co wy godocie, muti? Przeca żeście mie rodziyli, a niy umierali. I czemu jo zawsze to słysza, kej wy sie powadzicie z fatrym?

*Synek kryńci gowōm, prawōm rynkōm wywijo łyżkōm, a lewōm
pod stołym zwyrto po mobiloku. Mutra beczy.*

MODY:

Muti, i po co te płaczki! Z wami niy idzie pogodać. Wy beczyćcie, a ôjciec ryczy. Wyście wyleźli z PRL-u ino nogami, a gowa tam wōm ôstała.

*Mody stowo, nasadzo na gowa klangôryngle i zonenbryle
i choby zombi idzie i godo do sia.*

MODY:

MOBILOK GAFTO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
CO JE TO
CO JE TO
CO JE TO
MOBILOK SUCHO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
CO JE TO
CO JE TO
CO JE TO

MOBILOK GODO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
FTO JE FTO
CO JE TO
CO JE TO
CO JE TO
MOBILOK FRELA
MOBILOK RAKETA
MOBILOK COLT
MOBILOK FRELA
MOBILOK RAKETA
MOBILOK COLT

BINA SZWORTO
MUTRA, FATER

FATER:

Modego zaś niy ma, pra?

MUTRA:

Roz glyndzisz, że siedzi doma, a drugi roz, że łązi.

FATER:

No bo 0n jak siedzi, to za dugo, a jak zaś łązi, to niy tam kaj mo. I tyła.

MUTRA:

Wszysko robi, coby cie zessterować, pra?

FATER:

A niy? 0n mo swoje lata i ta kindersztuba, kero my mu wloli do łeba, coby mog sztimować sie i czasym robić niy ino to, co sie kce. Kej każdy by robi0ł, co kce, kajby my byli?

MUTRA:

No tu mosz recht. Jo by niy robiyła obiadu, a ty bys go niy jod.

FATER:

Ja, ja – śmieszne. We familji je tak, że jedyn ciongnie w0zyk, a drugi go ciśnie. Ciyńżko pedzieć, kery robi wiyncy. Nale co ci byda tuplikowoł. Ty przeca wiysz.

MUTRA:

Wiyim. No wiyim. Jo sie z tobom niy wadza. I niy przeciepuja, kery sie do wōzka dociepuje najwiyncy. Bo jak godała moja starka – ty sie dziołcha raduj, że mōsz wōzyk, i rōb wszystko, żeby ōn niy zaruścił i niy stanōł.

FATER:

Świynto kobyta.

MUTER:

I bestoż godałach z naszym, coby sie zakryncioł kole Hyjdli ōd Paterokōw.

FATER:

Za tom modōm bez cyckōw z piyrszego sztoku?!

MUTRA:

Cycki mo, ino małe. Nale niy ōne sōm nojważniejsze.

FATER:

Tyż prawda.

MUTRA:

Jo wiyim, że chopy ino jedno majom w gowie. Nale ta frełka je mōnter. Ōna by ustawiyla naszego roz dwa.

FATER:

No ja. Z dziołchy je szcziga, co trza pedzieć, to trza pedzieć. Ale kaj nasz prync terozki je?

MUTRA:

Możno dali nyno?

FATER:

Ō tym czosie?

Kłupanie do dźwiyrzōw.

FATER:

Fto tam moge być?

Fater ōtwiyrz dźwiyrze.

FATER:

Co godocie, panie policaj?! Nasz mody wyfurnōł z ōkna? Słyszysz, staro, słyszysz?!

MUTRA:

Jezderkusie!!!

Mutra i Fater jedyn przez drugigo cisnom sie do izby.

MUTRA:

Richtich niy ma go. I ōkno ōtwarte.

FATER:

No.

MUTRA:

Wychyl sie bardzi. Niy strachej sie szwortego sztoku. Widzisz cusik?

FATER:

Nic niy widza. Możno bestoż, że becza?

MUTRA:

No to kej go niy ma na dole, to kaj ôn je?

Z komputra słyhać walynie w bymbny, wrzaskot gitary i ryczynie Modego.

ZERO KÔMA NULL

ZERO KÔMA NULL

ZERO KÔMA NULL

ZERO KÔMA NULL

DYĆ JA

DYĆ JA

DYĆ JA

DYĆ JA

DYĆ JA

DYĆ JA

TAKE

TAKE

TAKE

TAKE

TAKE

TAKE

MY TUKEJ SÔM

MY TUKEJ SÔM

FATER (*dali beczy*):

Myśla, że pofurgnół do nieba. Ja, gynał, pofurgnół do nieba.

MUTRA:

To na co czekosz? Bez nos tam mo być? Lecymy za nim.

FATER:

No dyć. Lecymy za nim.

Anna Kandziora

ONA – 37 lat

SYN – 7 lat

Kuchnia. Stół, filiżanka z herbatą na stole. Za oknem ciemne jeszcze rano.

ONA:

Nie rzykom za umarłych.

To znaczy tak ogólnie za wszystkich to ja, ale za tych moich ukochanych niy.

Niy dlatego, że niy wierza, niy umia, niy...

Mie się wydaje, że takie rzykanie za tych, co umarli, kerych my kochali mocno, grzebie ich w ziymy jeszcze głębiej, zasypuje ich kolejnymi warstwami czor-nyj ziymy i zimna.

Na cmyntorzu, kedy w dziyń Wszystkich Świyntych zapołomy świeczki, stojmy razym, to ja, rzykom te formułki...

Myśla, że jest coś lepszego od rzykania, może to ino mie się tak wydowo, ale chyba tak jest...

Było roz tak, jak Franuś był malutki, że niy było piynindzy na nic. Akurat ino na czynsz za wynajem starczyło, jedzynie, ale bez frykasów, no mało było. A najgorsze to, że za robota nom nie zapłacili, kozali czekać, aż bydzie i niy marudzić... Jo w potmanyju nosza kilka cynnych do mie rzeczy, takich talizmanów, pamiątek, żeby mieć blisko tych, co mi je dali. Mom zdjyncie lubego już prawie wytarte, że nic niy widać, kwiotek z modeliny łod niego, zerwany różaniec z Rzymu, piórko do gitary łod downego szaca (niy wiym po co je nosza) i mom tyż złoty pierścionek zaręczynowy łod moi omy.

Pamiętom jak byłach mało, podobał mi się tyn wielki fioletowy kamień łoprawiony w złoto. Półszlachetny, ametyst. Oma godała, że on lepij przepowiada pogoda niż pogodynka w telewizji. Jak się na niego patrzy pod światło i mo kolor wpadający w błękit, to znak, że na pewno bydzie klara i bezchmurne niebo, a jak mo kolor ciemnego fioletu, prawie głębokij śliwy, to wtedy na bank bydzie łoło i wioło fest. Jak oma umarła, a mama zapytała się, co chca się wziąć z tych skarbów po omie – biżuterii, kolczyków, bransoletek... Nic. Nic mamu, chca ino tyn pierścionek. No i jak niy było kasy wtedy jak Franuś był malutki, zanioslach go do lombardu. Gardło ścisko mi gańba, ale pytom się, ile za niego dostana, ino zastaw, ni-gdy sprzedać.

Tyn chop z lombardu pedzioł, że trzysta pięćdziesiąt, noo, to zawsze coś, pora groszy więcej na przetrwanie. Za tydzień po niego przyda.

I zaroz po tym w nocy śniła mi się moja oma. Tako promiennie, roześmiano i ja-koś po niebiańsku szczęśliwo, pedziała mi tak:

Widzisz, nawet stąd udało mi się wom pomóc... Kup tymu małemu Franusio-wi jakoś dobro kaszka...

ONA:
Siódmo jeeest! Wstowej, Franek! Patrz ino, bydzie dzisiej fajny dziyń. Co ci zrobić na śniodanie?

SYN:
Niy wiym, nic...

ONA:
Jak nic to ci zrobia dobro sznita z wusztym abo jajecznicą?

SYN:
Jajecznicy niy chca, wola sznita. Powiydz, jak twoja oma godała na smarowanie sznity?

ONA:
A co miała godać na smarowanie sznity?

SYN:
No, że jak było dobrze, to Ojczy nasz, ja?

ONA:
Ach to, niy tak było... Jak oma była malutko, to na dwa sposoby smarowali chlyb. Jak było co jeść, był spokój i piyniondze w doma, to smarowali sznita tak na wszystkie strony i godali:
W imię Ojca i Syna i Ducha Świyntego amyn. A kedy indziyj, jak była wojna, ciyńzko ze wszystkim, piynindzy nie było, to smarowali ino: cześć.

SYN:
Acha... A ty tyż teroz, mamu, smarujesz sznity jak oma?

ONA:
Niy wiym. Niy ma teroz wojny, wszystko łatwo kupić, masło, syr, co tam chcesz. A smarują chlyb tak, żeby tuste było aż do skraja.

SYN:
A godosz tyż to: W imię Ojca i...

ONA:
Uwijej się do szkoły i niy fandzol za dużo...

ONA:
Moja oma to była dama, wela miała zawsze zrobiono. Czośać się chodziła do „Praktycznyj Pani”. To było jakieś magiczne miejsce, kaj oma chodziła i cołkie pół dnia tam spyndzała. Wiadomo, dałerwele nie robi się w pół godziny. A na te sztywne loki nakładała potym w doma fiolet, taki richtich fioletowy, co mama ze szpitała przynosiła, bo po co kupować, jak jest.
Te fioletowe loki, fioletowy kamień w pierścionku zaręczynowym, obrączka i zegarek na metalowej bransoletce – to był codzienny zestaw omy.
A jak szła do roboty, robiła wtedy na wentylatorach na grubie, czy do „Praktycznyj Pani”, a my wtedy mieszkali wszyscy razem, to stołach w drzwiach od pokoju, oma w antryju łodprawiała swój rytuał: przed żdżadłem najprzód błysła złotym zymbym na lewyj piontce, potym loki poprawiała, choć one zawždy w tym samym kształcie, strona prawo, strona lewo. Potym bacznie oglądała, czy bishalter pod cwitrym dobrze leży, czy kajś bokiem coś nie wyłazi, a potym na koniec był czas na rajtuzy. Najprzód prawo noga, potym lewo obejrzała, czy łoczko niy

leci abo czy ta kryska prosto leży. A jo chciałach tak ja oma wszystko tak samo powtórzyć, ale w tym żdźadle w antryju widziałach ino moja grzywka.

Oprócz „Praktycznyj Pani” było jeszcze pora miejsc, kere tworzyły szlaki omy na dzielniczy: „Nasz Dom”, to przeca tyn spożywczy Społem na Dąbrowskiego, drogeria z egipskimi boginiami na ścianach, cukiernia U Drożańskiego, przystanek bany „Wanda-Lech”, a potym tyż „Domino”, kaj stoło się na parkingu przy tylnym wyjściu w zawijanyj po 10 razy kolyjce po papiyr toaletowy. I tak my z omom dziyń po dniu załatwiały „Nasz Dom”, kajzerki łod Drożańskiego, w drogerii same pachnidła drogie i szyszki do wanny, a w doma kulały ciasto na makaron, a jo kra-dłach tyn makaron, zanim jeszcze był suchy i pokrony w nitki, bo lepij smakowoł na mokro niż w nudelzupie. Ale nojbardzij nie mogłach zdzierzyć tego, jak ciotki i jej siostry godały do nij „Rynata”. Jako „Rynata”? Dyc moja oma to je Zofija! Ta „Rynata” nie dowała mi pokoju przez dugi czas. I kedyś, już nie pamiyntom, ftoś pedzioł mi w końcu, że oma musiała zmiynić imie w urzyndzie na Zofija, bo niy mogła być „Rynata”, bo to jak łod Nymca miano...

Pora lot tymu Franuś narysowoł omie Zofiji kolorowy łobrozek do trumny, porzykoł na wieczny łodpoczynek i zrobioł amyn jak trzeba...

A jo niy umia...

Moga wom zaś od nowa pedzieć, jak oma smarowała sznita.

T R E F

Krzysztof Kokot

OSOBY:

Najstarszy syn PIOTR (*Ślonzok*)

Żona Piotra EWA (*Ślonzoczka*)

Drugi syn GEORG/JERZY (*ślonski Niymiec*)

Żona Georga MARIKA/MARIA (*Niymka*)

Trzeci syn ALUŚ/ALEXANDER – młodszy od pozostałych braci o 20 lat (*Niymiec*)

Uwaga:

Piotr, Jerzy i Alexander są synami Krysi z jednoaktówki „9292”. 2 0 1 8

SCENA 1.

Duży jasny taras z widokiem na morze. W donicach piękne egzotyczne kwiaty i pnącza na ścianach. Na środku nakryty do śniadania stół i pięć-sześć krzeseł. Wokół stołu krzątają się eleganckie dwie starsze panie w letnich sukienkach.

EWA:

Powinni już pomału wstawać. W tako fajno pogoda to przeca szkoda gnić w przykolu.

MARIKA:

No ja... ale jak przilecieliście, było już po jednyj w nocy.

EWA:

Wy tyż bez nos żeście sie niy wyspali, ino ranżyrujecie tam i nazod na lotnisko!

MARIKA:

Na szczynście ni ma daleko, a my już tu som trzeci dziyń. Georg łobsztalowoł sie auto przez Internet jeszcze w Niymcach, tak że niy było problemu z rajzom i kuframi.

EWA:

Fajnie, żeście po nos wyjechali, niy musieli my smykać tobołów.

MARIKA:

Kein problem... Wyluftowali my izby i sztepdeki, przeblyklach łózka, sztartli my kilszrank i tyła! Jako kawa pije Pyjter? Z kafymaszyny?

EWA:

W doma pije rozpustno... ha, ha...

MARIKA:

Georg ino z kafymaszyny, a wynokwio! Roz czorno, roz z mlykym, choćby był schwanger.

EWA:

Niyh już wstanom, bo niydugo trza jużaś jechać na ta... no jak to sie nazywo?

MARIKA:

Reina Sofia. Tak sie nazywo tyn flughafen.

EWA:
Alexander mo nojdalij. Nojpiyrw do Europy, konkretnie do Madrytu, potym do-
piyro na Kanary.

MARIKA:
Ale jest nojmodszy i jeszcze mo siyła, niy to co jo. Baba, a dziód!
Wchodzą Piotr i Georg, każdy ze swojej sypialni. Ubrani na jasno.

EWA:
Patrzcie sie, patrzcie! Chyba wywoniali kawa w lufcie i te winerwuszty.

GEORG:
Z samego rana musisz nos napasztować?

MARIKA:
Siadejcie, bo już za chwila bydzie gorko, a terozki jeszcze ciongnie rzyński luft
łod morza.
Georg i Piotr siadają do stołu.

EWA:
Tu mocie wusztliki, Marika kupiła jeszcze w Regensburgu. Tomaty tutejsze, jaj-
ka, masło, trocha cebule, zynft... Co jeszcze chcecie?

MARIKA:
Może zrobić wom zoft z apluziny? Jest tyż z mango, ale z biksy!

PIOTR:
A haferfloki som?

GEORG:
A preswuszt?

EWA:
Niy godejcie gupot, ino jydzie, co mocie pod nosym, bo zaroz trza bydzie je-
chać po Alexandra.

PIOTR:
A wyście pewnie już bez nos pojadły?

GEORG:
Widać, bo im sie gymbusie świycom i niy zawiyrąjom.

EWA:
Nic my niy jadły, siadomy z wami. No, Marika, nalywej kawy!
Jedzą przez chwilę w milczeniu.

GEORG:
To jak to planujemy?

MARIKA:
Wy jedziecie na lotnisko, a my tu posroniomy po śniodaniu i tela. Chyba że styk-
nie czasu, to pudymy do sklepu. Momy hyndi, to sie niy potracymy.

PIOTR:
Dobra, to my sie bieremy. Terozki jeszcze ni ma ciżby na drodze, ale było tak, że
my te dwajścia kilometrow jechali ponad godzina.

EWA:

Bez to sie ruszejcie i pylejcie po braciszka, by synek po darymnicy niy czeko!
*Kończą jedzenie, wstają od stołu. Ewa i Maria wynoszą
naczynia do kuchni. Georg jeszcze się kręci po tarasie.*

GEORG:

Papiory łod auta i kluczyki zawsze kaś zaciepna i potym szukom.

PIOTR:

Jakeś klamory leżom na fynsterbrecie!

GEORG:

No to tam, kaj powinno być. Toż podź, jadymy! Zaroz bydymy nazod, roz, dwa!
Schodzą ze sceny.

SCENA 2.

*Na taras wychodzą Ewa i Maria. Pierwsza poprawia jeszcze
obrus, przysuwa krzesła, Maria patrzy gdzieś daleko.*

MARIKA:

Fajne to miejsce, teroz pewnie worte dobre tysionce, a kupiec by sie znod. Pewnie chopcy to skalom!

EWA:

Dyć trocha by grosza kapło, a z drugij strony to szkoda. Roz, że richtig tu piyknie, a po druge naszym chopom zawsze bydzie przypominało matka.

MARIKA:

Mosz recht, piniondze to niy wszystko. To jest nasze, tu mogymy zawsze przyjechać.

EWA:

Niy take nasze, co naszych chopów i Alexandra. Łoni to erbli po mamie. Mogom z tym zrobić co chcom, ale wszyscy czujmy sie w Los Cristianos jak w doma. Pamiyntom, jak baby u nos w siyni godały: Juzaś jadom na Kanary, forsa ich rozsadzo!

MARIKA:

Bydymy musieli wszyscy poważnie ło tym pogodać.

EWA:

Jakby to łodymie zależało, może bych tego niy ruszała. Jest to jakiś ślad po mamie, no i trefpunkt, kaj mogymy sie spotkać do kupy, tak jak terazki.

MARIKA:

Łobejrzymy, co bydom godać. Już powinni być zurick!

W tej chwili wracają Piotr i Georg wraz z Alexandrem (w habicie franciszkańskim). Piotr niesie niewielką torbę podróżną, a Alexander walizkę.

ALUŚ:

Pokój i Dobro! Witejcie kochane bratowe! *(ściska kolejno Ewę i Marię)*
Paz y Bien! Paz y Bien!" *(wymowa: pazybien)*

MARIKA:

A coś ty taki świynty? W habicie żeś przilecioł na familijny tref?

ALUŚ:

Przeca u nos zima. A poza tym tak jest wygodnij, bo pod habitym mom dres.

EWA:

Dać ci coś jeść, Aluś? Abo chcesz się coś napić? Pewnie żeś zmordowany rajzom?

MARIKA:

Dej się kofer i tasza do izby.

ALUŚ (*zabiera walizkę, wychodzi i woła spoza sceny*):

Zróbcie mi szolka kawy z mlykym i cukrym, dobra?

PIOTR:

To som my w komplecie. Aluś pedzioł, że podrzimoł w samolocie i na lotnisku w Madrycie.

MARIKA (*woła za Alexandrem*):

A jeść nic niy bydziesz?

ALUŚ (*z za sceny*):

Niy chce mi się jeść. Napija się ino kawy, łoblykom badki i ida na plaża. O, jak tu fajnie ciepło! Tego mi trza było. W Buenos wieje, jak na Zugspitze w zima, a tu tak fajnie, jak w niebie.

GEORG:

A co tam u ciebie słychać? Cały czos ino ryzykosz?

Wchodzi z powrotem Aluś, w koszulce i bermudach.

ALUŚ:

Co się tak gapiacie? Letnika żeście niy widzieli?

EWA:

Jakbych cię niy znała, toby mię zatkało, abo sztopło, jak ta baba łód Lota... No ale pij ta kawa.

ALUŚ:

A co u wos na Nikiszu? Czytom, czytom w Internecie, a i mom poru znajomych na FB. To już niy te czasy, kaj listek szeł poł roku. Skansyn całym pyskym! Łorkestra gro w Barborka, jakeś kiermasze, karasole... Wszystko wiym! Kejsi pokazywali artystow z Grupy Janowskij, chyba tak się nazywają.

GEORG:

Świat się skurczył, mosz recht. Nojważniysze, że zdrowie i humor ci dopisuje. To dobrze. Niy zawodzo ci to zokonne życie, abo jak godajom powołanie? To dobrze, synek, dobrze...

MARIKA:

Wycie co? Toż zbiyromy się teraz wszyscy na plaża, tam się trocha poleżymy, abo poszpacerujemy, a we wieczor siednymy się na luzie przy dzbonku sangrii i mogymy łosprawiać aż do rana. Ino niy zapomnijcie łó olejku na te blade brzuchy i zonenbryli.

ALUŚ:

To mi się podoba. Zaroz chlastna fotka i pośła zmarzniyntym braciszkom! Idymy!
Wszyscy schodzą ze sceny.

SCENA 3.

*Wieczór na tym samym – podświetlonym – tarasie.
Przy stole i na leżakach (sofach) cała piątka bohaterów.
Na stole, w rękach lub przy siedzeniach kieliszki z winem.
Luźna atmosfera.*

PIOTR (*podnosząc kieliszek*):

No to jeszcze raz za tyn przepiękny tref pod palmami. Dziynki sie noleżom naszymu kochanyj mamie. Pewnie patrzy na nos z wyrchu i raduje sie z nami.

EWA:

Tak do końca niy dowiyrzom, że moja teściowo, bydno jak mysz kościelno, dorobiła sie apartamyntu na Tenerifie. Coś tam do nos na Śląsk dociyało, ale szczegółow to niy znam.

MARIKA:

Aluś ci wszystko powiy, bo łon wtedy miyszkoł z mamom.

GEORG:

My w Nymcach tyż wiymy ino pionte bez dziesionte. Godej, Aluś!

ALUŚ:

Powiym wom szczyrze, że jo jużaś mało wiym o tych czasach, jak mama miyszkała w Polsce. Tyż bych sie chcioł dowiedzieć niyftorych rzeczy, to by sporo wyjaśniło. Muszimy sie wymiynić informacjami.

PIOTR:

Jako nojstarszy myśla, że mama niy bydzie na nos krziwo patrzeć; wnosza zatym na wokanda rodzinno sprawa Krysi, naszymu kochanyj mamy.

EWA:

Toż zaczynej, boś ty był z niom nojwcześnij.

PIOTR:

To niy take proste. Matka to jest osoba, ftoryj bydymy zawsze przoć, co do tego sie zy mnem wszyscy zgodzicie. Ludzie z boku widzom to niyroz inaczej. Take jest życie.

EWA:

Niy filozofuj, boś niy Tischner, ino godej co mosz do godanio!

GEORG:

Łosprawiej, bo to ciekawe i niy wszyscy wiedzom ło dziwnych sprawach, ftore dzyoły sie ponad poł wieku tymu.

PIOTR:

Zaczna jeszcze głymbij, bo łod babki Anny. (czytamy: Ana) Ponoć przypłynęła do powstańcow jako sanitariuszka przez Brynica.

EWA:

To musiała fajnie wyglondać!

PIOTR:

Myśla, że wtedy ta rzyka jeszcze tak niy woniała.

MARIKA:

Godej dalij.

PIOTR:
W Szopynicach poznała naszego dziadka Pawła, abo jak wy godocie Paula.

GEORG:
Jak jo jeszcze z niymi miyszkół, babka godała do niego Paulek.

PIOTR:
Po plebiscycie, kej przigarnyła nos Polska, wybudowali dom i tam miyszkali z małom Krysiom.

GEORG:
W antryju była aufnama – babka z wozkym i bajtlym. To jeszcze pamiyntom.

PIOTR:
Mosz dobro pamiynć, była w sepii i fajnyj romce.

EWA:
Ale godej na tymat...

PIOTR:
Krysia poszła do polskij szkoły, fto-ro wybudowali Niymcy. W trzidziestym dziewi-
wiontym uczyła się już w nimieckij szkole, aż do końca wojny. Po wojnie w cztyr-
dziestym szostym – miała wtedy 16 lot – nogle znodła sie w Tczewie w szkole
z internatym.

MARIKA:
Dziwne to, nicht wahr?

GEORG:
Bardzo dziwne, bo na Ślonsku po wojnie potrzebowali ludzi do roboty, łotwiyra-
li szkoły, kształcili na miejsu, a łona wysłali kaś na Kaszuby.

ALUŚ:
Nic nigdy ło tym niy godała.

EWA:
Dziadek Paul prziszeł szczyńskiwie z Buchenwaldu, w doma nastoletnio cera, fto-
ryj pewnie wszyscy przoli, i wyciepujom jom z domu na poniywyrka na dru-
gi koniec Polski?

MARIKA:
Unmyglich! To musiały być ciynżke lata w życiu takij dziouszki. Wojna, bez łoj-
ca, biyda...

PIOTR:
Bez to zastanowiom sie, czy pedzieć wom wszystko, bo prowda miyszo sie z kla-
chami, a i czasu tyż sporo minyło.

ALUŚ:
Jo nikomu nic niy powiym, jak na spowiedzi!

GEORG:
Godej, godej, niy dej sie prosić.

PIOTR:
Nasz łociet poznoł Krysia, jak jechała na ferie do dom. Łona miała 16 lot, a łon 30.
Cug był w Katowicach już po cimoku.

MARIKA:
Tak, jak my tukej.

PIOTR:
Łocieć – wtedy już miał dobro posada – wzion taksa i zawioz Krysia do dom.
Som miyszkoł niydaleko.

GEORG:
A w niydziała zaprosił jom ponoć na zabawa do Sauera i obmyślili plan, że po skończyniu roku szkolnego wyncyj do Tczewa niy pojedzie, a jak bydzie miała łożymność, to zrobiom wesele.

PIOTR:
Langsam, langsam, tak to mnij wyncyj było, ale... I to nych łożanie miyndzy nami.
Na weselu brat babki Anny ponoć wzion łożca na bok i dobro kwila łożprawiali.
Musza dopedzieć, że już wyncyj tyn ujek na Ślonsk niy przijechoł.

ALUŚ:
Pewnie zdradziył jakoś niywygodno tajymnica rodzinno i babka Anna pedzia-
ła „szlus”.

GEORG:
Tego żech niy wiedziół.

PIOTR:
Ni mog żeś wiedzieć, bo jak mi to łożecieć pedziół, to tyś już z mamom był w Niy-
cach, a jo tego niy chciół powtarzać. Wraziłech to do przegrodki z klachami.

MARIKA (*chodzi między zebranymi i nalewa do kieliszków*):
Godej dalij. Komu jeszcze sangrii?

PIOTR:
Tyn ujek pedziół ponoć łożcu, że Krysia niy jest dzieckym babki Anny.

MARIKA:
Unmyglich! Jak to?

PIOTR:
Babka Anna niy mogła donosić żodnyj cionży. Poroniyla chyba ze dwa razy. W łoż-
smym miesioncu cionży z Krysiom pojechała do swojij mamy. Przijechała po po-
rodzie z dziółszkom, ftoro wyglondała już na pora miesiyncy.

ALUŚ:
*Como dicen los polacos? ** Ale jaja. Impossible!*

PIOTR:
Musza trocha uspokoić atmosfera, bo juzaś ciotka, ftoro była hyjbamom, twier-
dziła, że babka Anna roniła ino synkow, bez to Krysia mogła być jeji dzieckym.

EWA:
No ale ujek wsionk i szlus. Nic wyncyj niy wiymy. Marika, co ty na to? Tyś prze-
ca psycholog.

PIOTR:
Może jo jeszcze coś dopowiyom, a potym nych godo Marika. Były take lata, że
powstańce, aby dostać jakeś świadczenia, np. ulgowy bilet na bana czy jakiś do-
datek do pyncyje, musieli sie wpisywać do ZBoWiD-u. Jak sie dziadek Paul wpi-
sywoł, to znajomy, co to wszystko weryfikowoł, pokozoł mu kartka z donosym.
Stoło tam, że babka Anna, ftedy, jak łożon był w łagrze, przyjmowała nimieckich
oficerow u siebie w doma i majom na dziadka dać pozor.

GEORG:

Chca wom wyklarować, choć wszyscy to wiemy, że babce dokwaterowali we wojna niemieckich wojoków, fterzi pilnowali grubo. Po jednym to nawet radio łośtało i dziadek po wojnie w nocy suchoło Wolno Europa.

MARIKA:

Ach te Poloki, te Poloki! Jedyn na drugigo...

GEORG:

Ty niy dogaduj, Mädel, bo cie z rodziny wypiszemy! A teraz skup sie i powiydz coś mondrego.

MARIKA:

Jak Krysia ło tym wszystkim wiedziała, a mogła sie przeca dowiedzieć w szkole, to w okresie dojrzewania jest blank możliwe odciepiynicie rodziny i zwionzany z tym bunt. Pewnie niy suchała, robiyla na złość i bez to wysłali jom do szkoły z internatym. A może nawet sama chciała? Tego niy wiemy. Dużo by łośprawiać i szpekulować; jakby wtedy wkroczył psycholog, sprawa by szło załagodzić, a tak stało sie, co sie stało... *Es ist passiert, was passiert ist!*

EWA:

No i co dalij? Moj teść, jak tyn ritter na biołym koniu, wszystkiemu doł rada?

PIOTR:

Tak by sie zdowało, ale to by było za dobrze. Nojpiyrw urodził sie jo, niycałe dwa lata po mie Jerzyk. Modzi dostali miyszkanie i wyprowadzili sie łod starzikow na swoje.

MARIKA:

No i zaczyny sie schody. Dwoje bajtli, dużo starszy chop, a koleżanki jeszcze fraj, bo przeca mama jeszcze wtedy ni miała dwajścia lot!

GEORG:

Niy dziwota. Faktym jest, że mama wziyna mie i zurick do babki Anny, a przy łoju cu łośtał starszy Pietrek. Szajdung, tak zadecydował sond.

EWA:

Dziś to sie czynsto zdarzo, ale downij to pewnikym wszyscy ło tym godali.

PIOTR:

Godali, godali, ale teroz przeskoczmy pora lot i bydzie kolejno wolta, prowdą, Jerzyk?

GEORG:

Jak jo miał 14 abo 15 lot, przijechoł do domu obok downy somsiód dziadkow, Tadeus. Po wojnie łośtał w Nymcach. Przijechoł na byzuch i do tego własnym czerwonym garbusym na niemieckich blachach, za ftorem wszyscy sie łośglondali. Prziszeł tyż nos łoświedzić. Potym jakoś sie zakrycił koło mamy. Jeździyli na dancingi do Ustronia i pieron wiy kaj jeszcze, ale musioł jechać zurick. Pora miesiyncy potym mama pedziała, że Tadeus chce sie z niom łośżnić i ściongnonć do NRF. Musiała coś załatwiać w ambasadzie, bo jeździła do Warszawy i we ftorymś momyncie pedziała, że sie pakuje i jedzie na zawsze. Ślub wziyni gibko i mama starała sie mie nojgibsiój ściongnonć do Niemiec.

PIOTR:

Bo Jerzykowi zbliżył się wiek poborowy, wziyni by go do wojska i po ptokach.

GEORG:

Chodzili my z Piotrym do jednego technikum. Łon zdawał matura, a jo sie pakowoł do Rajchu.

PIOTR:

Koledzy się łokropnie dziwili, że ino łon pojechał.

GEORG:

Przjechała po mie mama, super łobleczone, jak z Burdy. Była w Katowicach pora dni, bo jeszcze coś musiała uzgodniać z łojcym i w konsulacie. Zaproszała tyż babka i dziadka do Niymiec, ale łodmowili. Dziadek pedzioł, że powstańcy do Niymiec niy jeżdżom i szlus.

PIOTR:

Nawet ponoć była u łojca w miyszkaniu, a baby przy komzonie godały, że trzymali sie pod rynka, jak piyrwyj, zaroz po ślubie. Jo już wtedy sztydiyrowoł w Krakowie, to ni mogą tego potwierdzić.

GEORG:

No i pojechali my do Niymiec, łociet nos łodprowadził na banhof, tela pamiyntom. Uściskoł mie i mama, potym zaroz poszeł, bo mu sie na płacz zbiyrało.

EWA:

No i jak cie przijon Tadeus?

GEORG:

Nic złego ni moga pedzieć. To był bardzo spokojny i porzondny chop. Cołkymi dniami coś duboł w werkszteli. Dostołech swoj zimner, poszed zech na wakacyjny sprachkurs i bez straty roku do nimieckij szkoły. Matura, czy jak to godali „abitur”, dobrze mi poszła. Potym przijyni mie do Technische Hochschule, kaj patronym był moj imiynnik, Georg Ohm.

MARIKA:

Tam my sie poznali. Bardzo zech sie zdziwiyla, jak mi kejs pedzioł, że mo starszego brata w Polsce i blank małego w Niymcach. Myślałach, że sie pomyłył, bo czasami jeszcze trefiały mu sie felery i polske ausdruki.

EWA:

Tadeus duboł, duboł, aż wyduboł Alusia. To już do mamy był łostatni driker na dziecko.

GEORG:

Jo sie łod mamy wyprowadził, ino zech tam łod czasu do czasu zaglondoł. Dostołech ciekawo robota u Boscha i miyszkanie. Mama lotała za Alusiyem w pieluchach, widać było, że sie krympuje. Podobnie Tadeus, ftory niydugo potym coś podupod na zdrowiu.

ALUŚ:

Pamiyntom, jak przijydzdoł Georg. Czekołech, bo zawsze z Aldika mioł do mie coś dobrego. Mama stawiała mi go za wzor i godała, że to bydzie dwunosty noblista ze Ślonska!

GEORG:

Pierdoły godosz. Przołech tymu małymu gizdowi, a jeszcze bardziej mi go było żol, jak Tadeus chorował i co chwila brali go do krankenhausu.

ALUŚ:

Łoćiec umar, jak jo był ze szkołom nad Bodensee. Mama przijechała po mie w czornyj kecce. Dobrze pamiyntom. Łostatni roz widziolech go w szpitalu, potym już trumny niy łotwiyrali. Zawał i szlus.

EWA:

Jak wom sie potym żyło?

ALUŚ:

Po łojcu dostawali my pynzyjo, a mama jeszcze dorobiała. Opiekowała sie starymi ludźmi, przeważnie takymi, co już sami niy byli w stanie sie łoporzondzić. Niyftorzi z alzheimerym, inksi na wozkach abo przikuci do łóżka. Czasym brała mie ze sobom. Jo sie uczył kaś na boku, a łona robiyła ordnong abo warzyła.

MARIKA:

To niy był leki konsek chleba, niy!

ALUŚ:

Teroz uberraszung, ftory jest zwionzany z tym miejscym! W jednym z domow, kaj mama gospodarzyła, do schorowanyj babci przichodziła na byzuch tyż nymodo, ale elegancko pani. Godała po nimiecku jakoś tak dziwnie. Potym wyszło, że to ukraińsko hrabina, ftoro sie wydała pora lot po piyrszyj wojnie za nimieckiego konsula w Rosji. Jeji chop już downo niy żył, a łona miała w bankach buła forszy. Aby sie niy nudzić, zaprosiła mama, żeby pojechała ś niom na Tenerifa.

MARIKA:

Mama niy była pewno, czy dobrze robi, bo musiała cie samego w doma łostawić, ale sama rajza jom kusiyla. Prosiyla, by my z Georgym dawali na ciebie pozor.

GEORG:

Jak widziała, że wszystko jest w porzondku i Aluś mo dobre noty i jako tako nasza opieka, jeździły na ta Tenerifa tam i nazod po dwa razy w roku.

ALUŚ:

Potym hrabina Natalia – my na nia godali Natasza – rozchorowała sie i umarła. Apartamynt przepisała na mama za opieka. Mama rada tu jeździyla, szczególnie jak u nos loło i było zimno. Po jeji śmierci tyn apartamynt przypod nom i muszyny ustalić, co ś niym zrobić.

PIOTR:

Dobra, ale to może potym. Godej dalej ło mamie, bo w tym czasie jakoś nasze kontakty były luźniejszye. Rzodził przijyżdżała do Polski. Jo z niom gołol w Polsce łostatni roz na pogrzebie babki.

ALUŚ:

Natasza umarła, jo poszeł do syminarium, a mama przestała dorobiać. Miała pora starych koleżanek, z ftorymi grała w rymika. Apartamynt podnajyna na 10 miesiyncy w roku i tak to hulało.

GEORG:

Byli my tu przeca wszyscy po twoich świyncyniach. Wtedy łodwiedził nos tyn pi-sarz i malyrz, co sie urodził w Hindenburgu. Jak łon to miał na miano?

MARIKA:

Dyć Horst... Horst Eckert.

GEORG:

Ty to mosz gowa! Mama godała, że jest z tego samego roku co łona.

ALUŚ:

Ja, ja... Richtig, był taki z siwym wonsym. Tak było przez pora lot. Potym prziszła choroba. Jeszcze czasami miyndzy pobytami w lazarycie bywała tu i żegnała sie pomału ze znajomymi. Reszta już wyicie. Przyjechała tu łostatni roz i tu już łostała. Tako była jej wola, żeby być tukej pochowano.

Cisza, zamyślenie.

Jeszcze coś wom ważnego musza pedzieć, bo to nigdy niy wiadomo co komu son-dzone. Wy polecicie do dom, do Europy, jo nazod do Argentyny.

EWA:

Toż godej, coś tak ucich? Może jeszcze kapka sangrii?

GEORG:

Nalyj mu, bo pewnie mo sucho w garle.

ALUŚ (*przechadzając się po tarasie*):

To niy take proste. Pytaliżeście, co mie skłoniło iść do zakonu.

Mamy wtedy niy było w doma. Jo grzeboł za jakymiś papiorami i wpadła mi w ryncę briftasza z dokumyntami Tadeusa. To już było po jego śmierci. Na żołych kartkach było zaświadczynie z badań lykarskich, pewnie jak sie staroł ło dodatek do pynzyje, bo wyicie, że był ranny na wojnie. Bez to tyż niy wrocił do Polski. Na tym starym papiorze stoło, że w wyniku poniesionych obrażeń zostół blank bezpłodny. Mie zatkało. Ni mogżech sie z tym dać rady. Niy chciało mi sie żyć. Postanowiłzech iść do klosztoru.

MARIKA:

Patrzcie, jak historia sie powtarzo. Krysia mo problemy z ustalyniym swojego pochodzynio i jej syn mo to samo.

PIOTR:

No to czym żeś jest dzieckym? Niy spytołeś sie mamy?

ALUŚ:

Ni miałech odwagi, zachowołbych sie jak soroń. Strasznie mie to gnymbiło. Do-stołych wrzodow na żołondku, zlichżech, a mama ciyngym mi godała, że w naszym rodzinie wszyscy majom wrzody.

PIOTR:

My momy skłonności do wrzodow po naszym łojcu, a po kym ty mosz mieć?

GEORG:

Tadeus umar na serce. Ani mama, ani łon niy chorowali na żołondek. Coś ji sie pomyłyło.

MARIKA:

Niy godejcie gupot, mama była monter do samego końca!

EWA:

Ale mi cie żol, synek. Oj, ta mama!

ALUŚ:

Niy noleży ło umartych źle godać. Panie, świyc nad jeji duszom!

EWA:

No ale powinna...

MARIKA:

Tym bardzij że sama za modu...

ALUŚ:

Suchejcie, pora miesiyncy przed śmierciom – jo był wtedy w Urugwaju – trefiła mi sie rajza do Rzymu. Dzwonia do mamy, a jom akurat wypisali po kropłowkach ze szpitala. Godo, że chce sie trocha polynić i pakuje sie na Kanary. Spotkali my sie tu, przy tym samym stole. Pamiyntom do dziś jeji pytanie: Czy ty mie mozesz jako ksiondz wypowiadać?

Niby moga, ale to bydzie nos krympować, i ciebie, i mie. Znojda ci tukej ksiyndza, co godo po polsku, abo po nimiecku. Dugo medytowała, myśłołech, że już zapomniała, ale pod wieczor, jak my siedzieli ino łoba, zaczyna łośprawiać o swoim piyrszym chopie, a waszym łojcu. Dalij przeszła na życie z Tadeusym, fforego nazwała „złotym człowiekiem” i na swój sposob mu przola.

Potym wziyna głymbszy wdech i wystrzelyła: A twojym łojcym jest moj piyrszy chop, z ftorym wzionach rozwod. Ciyńżko ji to było pedzieć. Patrzała mi w łoczy i widziółech, jak kamyń spod ji z serca. Wyjonkoł jo ino: Dziynki, mamu, to dło mie bardzo ważne. Wtedy mi pedziała, że niy chciała zrobić tego samego feleru co babka Anna. Uściskołech jom mocno i niy wstydzili my sie płaczek.

EWA:

Mie terozki lecom łzy.

MARIKA:

Jeronie, jo tyż sie cołko trzynsa.

GEORG:

Lepij by tego w amerykańskim filmie niy wymyśleli! Ale namotlane!

PIOTR:

Niy mom zamiaru witać cie drugi roz jako echt brata. Przajymy ci bardzo i som my z ciebie dumni.

ALUŚ:

Jo tyż wom przaja, i kurde... codziynnne rzykom za was.

GEORG:

Boś jest superbrat, szkoda ino, że tak daleko cie ciepło i że niy bydziesz miał dzieci. Nojważniysz, że terozki wszystko wiysz i chyba ci jest z tym łzyj.

PIOTR:

Mamu, kochomy cie za to... Co byda godoł, ty to dobrze wiysz! Nalyjcie wina, bo keliszki puste!

MARIKA (*podnosząc kieliszek*):

A z tej okazji proponują, byście chopcy zrobili sobie testy genetyczne, bydziecie wtedy pewniejsi swojego pochodzenia, bo kto tam jeszcze wie!

ALUŚ:

Ja, tak zrobimy.

EWA:

No a nie żal wam Tadeusza? W końcu umarł bez potomka.

MARIKA:

Myślała, że mama też mu w odpowiednim momencie wszystko powiedziała.

EWA:

Abo to łoba uknuła?

PIOTR:

Wicie, Tadeusz kojarzy mi się ze świętym Józefem.

ALUŚ:

Może to trochę za dużo naciąganych porównań, ale powiem wam. Czasem żech czuł – teraz to wiem na pewno – że Tadeusz traktował mnie bardziej jak wnuka. Podobnie jak każdy dziadek miał do mnie inksze podejście niż ojcowie do swoich kamratów. Był do mnie życiowym przewodnikiem, nigdy po mnie nie wrzeszczał, a czysto dogodził.

MARIKA:

Myślała, że łon ło wszystkim wiedział.

EWA:

Jo też dochodza do tego wniosku. Dejcie pozor, przeca mog...

PIOTR:

Suchejcie! Jako najstarszy w naszej rodzinie – nie czekajcie do jutra – wnosza, że ze względu na tak ważne wydarzenia, które się tu dzieją, tego apartamentu nie będziemy sprzedawać i niech będzie placem do rodzinnych spotkań. Kto jest za?

Wszyscy są za, co pokazują, wznosząc napełnione winem kieliszki.

EWA:

Pamiętajcie się rozryndować, a to miejsce jest i będzie naszym rodzinnym czakramem!
Wszyscy trącają się radośnie kieliszkami.

ALUŚ:

A jutro rano idziemy na cmentarz ło wszystkim powiedzieć mamie.

PIOTR:

Idziemy zaraz, już się przeca rozwidniało na dworze.

ALUŚ:

Nie ino na dworze, ale i w naszych gościach i sercach!

* *Paz y Bien! (hiszp.) – Pokój i Dobro! Pozdrowienie franciszkańskie.*

** *Como dicen los polacos? (hiszp.) – Jak to mówią Polacy?*

KŌSTUŚ TROMPYJCIŌRZ

Aleksander Lubina

POSTACI:

KŌSTUŚ

MAMULKA

UTOPEK

STARZIK

TRZY SIOSTRY (WIERKA, NADKA, LUBA)

FRANCIK

Scena zaciemniona, powoli wschodzi słońce, oświetla łóżko, na którym niespokojnie śpi dziesięcioletni chłopczyk. Na nocnym stoliku leży trąbka, na sztalugach stoi spory blejtram, widać biurko i krzesło. Chłopczyk się budzi. Podchodzi do sztalugi i na tle ciemnego lasu maluje utopka (trzymającego w dłoniach czerwone serce?). Po chwili chłopiec bierze trąbkę i zaczyna grać. Trwa to jakąś chwilę. Do pokoju wchodzi Mama.

MAMULKA:

Dziyń dŏbry, synku.

KŌSTUŚ:

Dziyń dŏbry, Mamulkŏ.

MAMULKA:

Dziyń dŏbry. łŏbudziłeś mie graniym. Festelnie sie raduja. Gryfnie grŏsz. To nowy kŏnsek?

KŌSTUŚ:

Ja, to blank nowe. Byda to grŏł na egzaminie.

MAMULKA:

A to kiejś namalowŏł?

Mamulka pokazuje na obrazek.

KŌSTUŚ:

Wczorej we wieczŏr.

MAMULKA:

Bardzo mi sie podobŏ. Mŏsz tela talyntŏw. Pŏdź śniadać.

KŌSTUŚ:

Dobrze.

MAMULKA:

I pojady my do kościŏła?

KŌSTUŚ:

Dobrze.

MAMULKA:

A potem na smyntŏrz do ŏpŏw?

KÖSTUŚ:

Klaro.

MAMULKA:

Coś ty dzisiaj taki: dobrze, dobrze? Wczorej nie byłeś taki usuchliwy...

KÖSTUŚ:

Nie gniywej sie.

MAMULKA:

Dobrze, dobrze i przepraszam. Nie poznają cie, synku. Ćwiczysz na trômpyjcie, malujesz. Nie muszą cie gonić do trômpyjty... Co sie stało?

KÖSTUŚ:

Nic, nic takiego.

MAMULKA:

A dyc, dyc. Rzeknij mi prôwdę. Co sie stało? Prôsza, prôsza...

KÖSTUŚ:

Śniło mi sie.

MAMULKA:

Łôpowysz mi?

W tym miejscu można porozmawiać z widownią. Ale niekoniecznie.

KÖSTUŚ:

Był mały, taki malutki, taki wiysz... Szlimy bez las – ciemny las, wiele strômy, corôzki wiyncyj stromów, nic niy było widać, nawet nieba. Cima, cima. Strachół zech sie, trzimłech cie za rynka. Narozkiś sie straciłaś, szukôłech cie i szukôłech, nikaj cie nie było, zaświyciły gwioźdzdy i dwa miysiônczki: jedyn na niebie, a drugi w jeziorze. Na tym miysiônczku na wôdzie stół ciupinka żadny chôpek, co w garści trzimół wiosło. Był mały, taki malutki, taki wiysz... Pokozół na mie, kozół mi wylżyć i powiosłowół na środek jeziora, ku wysepce. Wysiedlimy, wleźli do szala-su, chôpek wziôn w garść moje rynce i môtne je potar, coby sie rozgrzôły. A na sôm kôniec dół mi szółka ze ciepłym kakałem.

UTOPEK:

Pij pôleku. Łôgrzyj sie. Już lepij?

KÖSTUŚ:

Lepij.

UTOPEK:

To dobrze. Môsż stracha?

KÖSTUŚ:

Bôja sie.

UTOPEK:

To dobrze. Môsż sie trôcha strachać. Trôcha. Spôkôpiłś, czamu cie mamulka tu-kej przikludziła?

KÖSTUŚ:

Bo niyrod łaża do szuli?

UTOPEK:

Niy.

KÕSTUŚ:
 Bo czasym niy chca grać na trõmpyjcie?

UTOPEK:
 Niy.

KÕSTUŚ:
 Bo czasym niy chca malować?

UTOPEK:
 Niy.

KÕSTUŚ:
 Boch niyusuchliwy?

UTOPEK:
 Trocha prõwdy w tym je.

KÕSTUŚ:
 Bo nierõd łaża do kõiściõła?

UTOPEK:
 Niy tak cõłkiym.

KÕSTUŚ:
 Bo nierõd ida na kirhõf?

UTOPEK:
 Tak i niy.

KÕSTUŚ:
 To czamu mama mnie tu lõstawila?

UTOPEK:
 Mõm ci pomõc.

KÕSTUŚ:
 Co?

UTOPEK:
 Mõm ci pomõc.

KÕSTUŚ:
 Mie pomõc?

UTOPEK:
 Mõm ci põistawić jednõ jedyne pytanie i pomõc, cõbyś nalõz lõdpowiydź.

KÕSTUŚ:
 Jakie to pytanie?

UTOPEK:
 To rõz ciynżkie, a rõz ajnfachowe pytanie.

KÕSTUŚ:
 Jakie?

UTOPEK:
 Jakie? Jakie? Proste. Sõm dõwność miõł se je põistawić i tela. A beztõż, cõś se go som niy põistawił, to siedzisz tukej semnom poşrzõdku wõdy...

KÕSTUŚ:
 Jakie to pytanie?

UTOPEK:

Ano takie:

Po co cie mamulka na świat wydała, po co cie mamulka urōdziła? Po co żyjesz?

KŌSTUŚ:

Jak to po co?

UTOPEK:

No właśnie, po co?

KŌSTUŚ:

A mamulka nie może mi wyklarōwać? A wy mi nie mōgecie pedzieć?

UTOPEK:

Niy, niy mōgemy. To twoje żywōbycie. Sōm musisz znōść łōdpowiydź.

KŌSTUŚ:

Mōgesz mi pomōszcz?

UTOPEK:

Na to żech tu je. Akurat to robia. Akurat ci pomagōm.

KŌSTUŚ:

A jak nie znōjda łōdpowiedzi?

UTOPEK:

Bydziesz tak dugō szukōł, aż znōjdziesz.

KŌSTUŚ:

A jak znōjda felernō łōdpowiydź?

UTOPEK:

Jak znajdziesz złō łōdpowiydź, to we twōim hercu zapanuje chłōd, gwioźdy pomrōm i miesiōnczek zgaśnie, klara niy zaświyci, a niebo zwali ci sie na gōwa. Nasza wyspa sie straci, nie dōstanymy sie na brzeg. A ty już łōstaniesz semnom, łōstaniesz semnom i niy pōdziesz nazod do mamulki.

KŌSTUŚ:

To co mōm zrōbić? Jak mōm znaleźć łōdpowiydź? Dyc mōsz mi pomōszcz!

UTOPEK:

Zawieza cie na brzeg, tu je drugie wiosło. Mōgesz mi pomōszcz przy wiosłowaniu, wysadza cie tak, cobyś nogōw nie zmōczył, bo przed tobōm dugō sztreka.

KŌSTUŚ:

Kaj mōm iść?

UTOPEK:

Przed sia – łōbejrzysz srōgi sztrōm na pōłanie, przy nim stoi chałpa. Wtoś tam na cie czekō.

KŌSTUŚ:

Jak gō pōznam?

UTOPEK:

Zagrōsz na trōmpyjcie i tyn lōn wyńdzie do ciebie. No i spōmnij se – łōdpowiydź to ino jedno słowo. Jedno słowo. Jedno, a niy dwa i niy trzy.

*W tym miejscu można porozmawiać z widzami.
Scena zaciemniona. Kostek gra na trąbce. Natychmiast niebo jaśnieje gwiazdami,
pojawiają się Księżyc i chata na polanie.
Przed Kostkiem staje mały człowieczek w białej tunice.*

KOSTUŚ:

Dziyń dobry, szczyńś Boże, wołajōm mie Kostek, Konstanty. Konstanty Lizak.

STARZIK:

Słodkie miano.

KOSTUŚ:

A pan jak się nazywō?

STARZIK:

Niy poradza se spōmnieć, niy poradza, niy poradza... Jestem tak stary, iż se niy spomna, jakō sie miynia.

KOSTUŚ:

Przistōł mie tu Utopek, żeby mi pan pedziōł, jak mogā znojść łōdpowiydź na ważne pytanie.

STARZIK:

A jakbyś niy znōd tyj łōdpowiydzi?

KOSTUŚ:

Jak nie znojda łōdpowiydzi, to we mōim hercu zapanuje chłōd, gwioźdy pomrōm i miesiōnczek zgaśnie, klara niy zaświyci, a niebo zwali mi sie na gōwa. Utōpkowō wyspa sie straci, nie dōstanymy sie śnim na brzeg. A jo już łōstana śnim i niy pōnda nazod do mamulki.

STARZIK:

A ty chcesz pōńść nazod do mamulki?

KOSTUŚ:

Dyć, że chca.

STARZIK:

To jakie to pytanie? Som bych chciōł wiedzieć.

KOSTUŚ:

Po co mie mamulka na świat wydała, po co mie mamulka urōdziła? Po co żyja? Jaki jest cel mojego żywobyćō? Jaki sens ma mōje żywobyći?

STARZIK:

Ech, no to chyba lekko łōdpowiydź.

KOSTUŚ:

Jaka?

STARZIK:

Ja myślōłzech nad tym cōłkie żywobyćie, wiysz. A ty to tak ajnfach chcesz wiedzieć?

KOSTUŚ:

Jakō?

STARZIK:

Całe życie zech nad tym myślōł.

KOSTUŚ:

Jakō jest łōdpowiydź?

STARZIK:

Mam ci pedzieć?

KÖSTUŚ:

Põwiysz. Põwiysz, prosza.

STARZIK:

Łõdpowiydź to: piynknõ, dõbrõ,, prõwda.

KÖSTUŚ:

Piynknõ, dõbrõ, prõwda. Piynknõ, dõbrõ, prõwda? To nie to! Mo być jednõ słowõ.

STARZIK:

Wybrać musisz sõm!

KÖSTUŚ:

Piynknõ mijõ. Piynknõ zależy od tego, wtõ patrzy. Dõbrõ... dõbrõ... dõbrõ...?

No nie wiem. Dõbrõ... dõbrõ... dõbrõ...? Gõdõ sie:

Dziyń dobry, Dobra-noc? Prõwda? Ciynżkõ wybrać? Musza wybrać?

STARZIK:

Musisz wybrać!

KÖSTUŚ:

Musi być coś ważniejszego.

STARZIK:

Niy wiem.

KÖSTUŚ:

Wtõ mõge wiedzieć?

STARZIK:

Niy wiem. Las jest wieli, jak mi nie wierzysz, to szukaj dali.

Scena zaciemniona. Kostek gra na trąbce, gra i gra. Niebo powolutku pokrywa się gwiazdami, pojawia się Księżyc i trzy dziewczynki – każda w sukience innego koloru: jedna w niebieskiej, druga w złotej, trzecia w czerwonej. Kostek odkłada trąbkę.

KÖSTUŚ:

We łõczach mi się troi? Niy! Klajdy majom różne farby: modro, gold, czyrwõnõ. Zaś mõm wybiyrać?

TRZY SIOSTRY:

Dzień dobry. Nie jesteś grzeczny, mógłbyś się przywitać i przedstawić.

KÖSTUŚ:

Dzień dobry. Jestem Kostek. Przepraszam, że się nie przywitałem. A wy jako się miynicie?

TRZY SIOSTRY:

SIOSTRA W MODRYM KLAJDZIE:

Jo je Wierka. Znaczy sie Wiera.

SIOSTRA W GOLD KLAJDZIE:

Mie wołajõm Nastka. Znaczy sie Nadieżda.

SIOSTRA W CZYRWÕNYM KLAJDZIE:

Jo sie miynia Luba. Znaczy sie Lubow.

KŌSTUŚ:
 Szwarne miana. Jo je Kostek, zaczy sie Konstanty.

TRZY SIOSTRY:
 Tyż gryfnie. Co tu rōbisz?

KŌSTUŚ:
 Szukōm łōdpowiedzi na wāzne pytanie. Jak niy znajda łōdpowiedzi, to już nigdy nie łōbacza moij mamulki.

TRZY SIOSTRY:
 Jakie to pytanie, te wāzne?

KŌSTUŚ:
 Po co żyja? Co jest najwāżniejsze w żywōbyciu?

TRZY SIOSTRY:
 Możnō my?

KŌSTUŚ:
 Wszyjskie trzi?

TRZY SIOSTRY:
 Wszyjskie trzi.

KŌSTUŚ:
 Nie, to mo być jedno słowo.

TRZY SIOSTRY:
 To musisz wybierać! Musisz wybrać – abo Wierka, albo Nastka, albo Luba. No, kerō wybierōsz? No, kerō?
W tym miejscu można porozmawiać z widownią, ale niekoniecznie.
Scena zaciemniona. Kostek gra na trąbce, gra i gra. Z lasu wychodzi zakonnik, a za nim podążają zwierzęta.

KŌSTUŚ:
 Dzień dobry, jestem Konstanty, Kostek...

FRANCIK:
 Dzień dobry, wiem, wiem... Kostek Lizak. Ja jestem Francik, a ty Kostek.

KŌSTUŚ:
 Skōnd wiysz?

FRANCIK:
 Wszyjscy gōdajōm. A mie pedziały kraski, chwiszki, szpōki, wrodarki, młynōrki, sztyrnadle, kosy, stroka, pustułka i pōjdzka.

KŌSTUŚ:
 Wto?

FRANCIK:
 Ptōki.

KŌSTUŚ:
 Ptōki? Chytōsz, co gōdajōm ptōki?

FRANCIK:
 Styknie słuchać.

KŌSTUŚ:
 To tyż wiycie, co tukej rōbia?

FRANCIK:

Wiy m, wiy m...

KÔSTUŚ:

Ptôki wôm pedziały?

FRANCIK:

Ptôki i inkszo zwiy rzy na.

KÔSTUŚ:

Môgecie mi pomôszcz?

FRANCIK:

Przeza Utôpek ci wyklarowôł...

KÔSTUŚ:

Dyć, dyć... mô m sôm znôjść łôdpowiydź. To ciynżkie.

FRANCIK:

Utopek ci pomôgô!

KÔSTUŚ:

Jak to?

FRANCIK:

Piyknô, prôwda i dôbrô to była piyrwszô podpôwiydź.

KÔSTUŚ:

A drugô?

FRANCIK:

Trefiłżeś trzi siostry?

KÔSTUŚ:

Wiera, Nadieżda i Lubow?

FRANCIK:

Ja.

KÔSTUŚ:

Trefiłech, nale kaj tu podpôwiydź?

FRANCIK:

Tukej je łôdpowiydź.

W tym miejscu można porozmawiać z widownią, ale niekoniecznie.

KÔSTUŚ:

Łôdpowiydź?

FRANCIK:

Łôdpowiydź! Jakie miały klajdziki? Jakie farby?

KÔSTUŚ:

Môdro, gold, czyrwônô...

FRANCIK:

A jak sie mieniły?

KÔSTUŚ:

...

FRANCIK:

Wiera, Nadieżda, Lubow? Wiera w môdрым klajdzie, Lubow w czyrwônym, Nadieżda w gold kiece...

KÖSTUŚ:

Wiera w mōdрым klajdzie, Lubow w czyrwōnym, Nadieźda w gold kiece...

W tym miejscu można porozmawiać z widownią, ale niekoniecznie.

FRANCIK:

No...?

KÖSTUŚ:

Niy wiym. Niy chytōm.

FRANCIK:

A czamuś trefił do mie?

KÖSTUŚ:

Bo ptōki gryfnie śpiywajōm, a ty chytōsz ich gōdka?

FRANCIK:

Niy.

KÖSTUŚ:

Bo zwirzynta pedziały ci prōwda?

FRANCIK:

Niy.

KÖSTUŚ:

Bo przajesz ptokōm, zwirzyntōm i ludziōm?

FRANCIK:

Ciepło.

KÖSTUŚ:

Bo przajesz ptokōm, zwirzyntōm i ludziōm, a ptōki, zwirzynta i ludzie przajōm ciebie?

FRANCIK:

Ciepłyj.

KÖSTUŚ:

Bo...

Kostek szepcze coś do ucha Franciszka.

FRANCIK:

Ja, ja, genau tak – mōgiesz iść nazōd do Utopka. Znōsz łōdpowiydź.

W tym miejscu można porozmawiać z widownią, ale niekoniecznie.

Ciemno. Kostek gra na trąbce. Niebo lśni gwiazdami i pojawiają się dwa księżycy.

Jeden na niebie, a drugi w jeziorze. Na tym księżycu w jeziorze stoi mały człowieczek z wiosłem. Podpływa do brzegu, na którym stoi Kostek, wysiada z łódki i mówi.

UTOPEK:

Mōm nadzieja, że znōsz łōdpowiydź.

KÖSTUŚ:

Zdo mi sie, co znōm.

UTOPEK:

To powiydz!

KÖSTUŚ:

Nale ino na ucho.

UTOPEK:

Dobrze.

Kostek szepcze coś na ucho Utopka.

KÖSTUŚ:

I co? Zgōdłech?

UTOPEK:

Zgōdłeś. Zgōdłeś. Nale...

KÖSTUŚ:

Co ale?

UTOPEK:

Teraz mōsz tak żyć. W zgōdzie z tym słowem.

KÖSTUŚ:

Ja.

UTOPEK:

Zarōzki sie łōbudzisz i...

W tym miejscu można porozmawiać z widownią, ale niekoniecznie.

Scena zaciemniona, powoli wschodzi słońce, oświetla łóżko, na którym niespokojnie śpi dziewięcioletni chłopczyk, na nocnym stoliku leży trąbka, na sztalugach stoi spory blejtram, widać biurko i krzesło.

Chłopczyk się budzi. Podchodzi do sztalugi i na tle ciemnego lasu maluje utopka (trzymającego w dłoniach czerwone serce).

Po chwili chłopiec bierze trąbkę i zaczyna grać. Trwa to jakąś chwilę. Do pokoju wchodzi Mama.

MAMULKA:

Dziyń dōbry, synku.

KÖSTUŚ:

Dziyń dōbry, Mamulkō.

MAMULKA:

Dziyń dōbry. Piykny dzień. Łōbudziłeś mie graniym. Festelnie sie raduja. Gryf-
nie grōsz. To nowy kōnsek?

KÖSTUŚ:

Ja, to blank nowe. Byda to grōł na egzaminie.

MAMULKA:

A to kiejś namalowōł?

KÖSTUŚ:

Wczorej we wieczōr.

MAMULKA:

Bardzo mi sie podōbō. Mōsz tela talyntōw. Pōdź śniadać.

KÖSTUŚ:

Dobrze.

MAMULKA:

I pojadymy do kościoła?

KÖSTUŚ:

Dobrze.

MAMULKA:

A potem na smyntōrz do ōpōw?

KŌSTUŚ:

Klaro.

MAMULKA:

Coś ty dzisiaj taki: dobrze, dobrze? Wczoraj nie byłeś taki usuchliwy...

KŌSTUŚ:

Nie gniywej sie.

MAMULKA:

Dobrze, dobrze i przepraszam. Nie poznają cie, synku. Ćwiczysz na trōmpyjcie, malujesz. Nie muszą cie gonić do trōmpyjty... Co sie stało?

KŌSTUŚ:

Nic, nic takiego.

MAMULKA:

A dyc, dyc. Rzeknij mi prōwda. Co sie stało? Prōsza, prōsza...

KŌSTUŚ:

Śniło mi sie.

MAMULKA:

Łopowiesz mi?

Kōstuś szepcze do ucha Mamy. Powoli gasną światła i znów się zapalają.

W tym miejscu można, a właściwie to należy porozmawiać z widownią.

WE ZRZADLE

Wojciech Szwiec

Jeszcze schodzą się ludzie, jeszcze zajmują miejsca. Między nimi przecisko się frela. Normalnie obliczono – we babskim szakiecie, może być we szpilkach. Za chwila zacznie się spektakl, a łona rozdowo poru ludziom kartki i blaisztifty. Musi dać w poru rządach, coby uzasadnić to, że za chwila będzie godać do cółkij sali. Frela godo, tzn. mówi.

ANKIETERKA:

Drodzy państwo, korzystając z uprzejmości teatru, chciałam killkorgu z was dać do wypełnienia ankiety, jest to niezbędne do mojej pracy doktorskiej. Proszę. Przeczytam Państwu pytania.

Na sali szum, większość osób słyszy, co godo frela.

ANKIETERKA:

Jak się dziś czujesz? (źle, dobrze, średnio, bardzo dobrze*); Jak się czułaś wczoraj? (źle, dobrze, średnio, bardzo dobrze*); Jak będziesz się czuć jutro? (źle, dobrze, średnio, bardzo dobrze*); Ile mężczyzn dziś spotkałaś? (mniej niż 5?, między 5 a 10?, więcej niż 10?*); Ile kobiet dziś spotkałaś? (mniej niż 5?, między 5 a 10?, więcej niż 10?*); Czy zagładałaś dziś do lustra?

Pytanie otwarte:

Czyją twarz widziałaś w lustrze? *niepotrzebne skreślić

Po chwili zabierze ludziom blaisztifty i kartki i traci się między ludźmi. Na odchodne pado yno:

Dziękuję! Udanego spektaklu.

Robi się cima, każdy wiy, że zarozki zacznie się szpil.

SCENA 1.

Szare ściany, na zolu dość wąsko drzewiano prycza, nad niom widać okienko zakratowane. Na przodku biny stoi frela obleczono w długie szaty, przed niom stoi stolik turystyczny, na nim kieliszek łód gorzółki i trocha zepsutego chleba. Po czym poznać, że je trocha zepsuty, nie wiadomo.

FRELA:

Odemknijcie drzwiyrza! Puście tu trocha luztu, bo źle mi się dycho. Jo nie nabałała do takigo coś. Pojakimu jo tu je zawarto? Odemknijcie drzwiyrza. Wiele czasu już tu siedza? Musza zacząć godać do kogoś, zaczym tu zgupna.

Cisza. Rozglądo się pomału.

Słysza dużo wiyncyj niż poradza zoboczyć. Słysza co się wyrobio na placu. Szepety, szuranie szczewikami, słysza jak wajzle liczołom każdo minuta. Roz na dziyń jest tu nawet widno i poradza spokopić, że wstowo kolejny dziyń. Jak se spomna, jak wyglądo dziyń, to widza izba w doma, łokna pootwiyrane, tureckie tepichy na zolu. Odemknijcie drzwiyrza...!!!!

Cisza.

To wom zaśpiywom pieśniczka o downych dziejach. O moim tatulku, kiery tak mi pszoł, że kożdego dnia spełniół kożde moje snokwiani. Miałach w życiu wszystko, a nie musiałach się starać o nic. Wiym, że wos to psinco obchodzi, bo mocie swoi życie. Kożdego dnia rano wstowocie, ściągocie pierzina, zagładocie na swoje pazury, eli to jeszcze wasze ryncce. Eli już kogoś inszego. Zarozki idziecie do badenzimeru wejrzyć do zrzadła, czy wasza gymba je piykno i nakremowano, czy posmarszczano jak staro zoka. Po prowdzie musza wom pedzieć, że wy musicie wejrzyć, czy wasz pysk je jeszcze wasz, czy już go nie daliście komu inszemu. Jak mocie we tasi zrzadełko, to wejrzyjcie doporządku jeszcze roz. Ja. Terozki! Śmiało! Bydzie tu poru, kierzy już nimajom swoij gymby, yno cudzo.

Cisza.

Nie byda śpiywać, niy wiym, czy poradza. Tak i jo wom powiadom – wstowalach co rano i w tyn gryfny pyszczek zagładałach. Liczka czerwone, oczka żywe, mamlok wydatny... Ja, gryfno frela... Na zguba i na zatracyni. Wiele to idzie patrzeć na swój dziób we zrzadle.

Cisza.

No tatulek nimioł ze mnom leko, a jo z nim... Mamulki nie znałach, wczas pomarli. Łojciec mioł yno mie. Nikaj nie puszczoł mie samyj. A niechby się jaki szac do mie zbliżył, to nie dej Boże. Terozki stoja tuki choby figura z łobrozka. Cima dookoła i cicho, ani szuranio już nie słychać, ani żodnych wajzli.

Cisza.

Musza pedzieć, że to było dość downo. Nieskorzyj ludzie dzielili się na takich, kierzy wierzyli w ponbóczka, i kierzy nie wierzyli, abo takich, kierzy dowali wiara w poru ponbóczków. Dejmy na to jedyn był od swady, jedyn od miłowanie, inszy zaś od tego, coby kartofle i owies na polu dobrze schodziły i na zima było co zjeść. I mój tatulek tak mioł. Do wszyskiego mioł inszego ponbóczka. Mie to było egal, bo zło nie byłach, nie musiałach się starać, czy mie jaki bożek ukorze. Jak już byłach frelkom, to strasznie chciałach chodzić do szkoły. Iść ku inszym bajtlom, skokać na gumie, wygupiać się. Ale tatulek mie nie puścili. Najon jakiś chopów, kierzy przychodzili do mie do izby, rozkładali swoje papióry i nauczali. Jo nie była blank gupio, mie to nawet szło. Ale wicie, co u nos frela abo baba mo do godki. Widzicie jak żyja, widzicie jak umiyrom. Dobrze, że jest tu tela placu, że moga rozprostować kości, siednąć chocioż na tyj rycze. I te ostatnie godziny jakosikej przeżyć po bożymu.

Durś godom o tych ponbóczkach, a wom się w gowach mele. Jest jedyn ponbóczek, pra?

No ale miałach godać... Jednym z moich rectorów był Orygenes. Terozki już żodyn nie dowo bajtlom takich pomatłanych imon. Yno coś co idzie pedzieć: Andżelika abo Dżesika... Tyn Orygenes to była u nos dość znano figura. Poradził łosprowiać o ponbóczku i o filozofii. Jo się lubiała śnim pogodać. Tuplikowoł mi jako to je gupota wierzyć we roztomaitych bożków i bałwanów. Nie wszystko rozumiałach, bo u nos nie było żodnych bałwanów, i nie wiedziałach wtedy, co on mo na myśli. Godoł mi tyn chop, że jak byda wierzyć w jedyne go ponbóczka, to byda zbawiono! No wicie, to było coś. Jo się trocha lonkała co to bydzie,

jak umra, kaj jo tam pojada w te zaświaty, co mie czeko. A łon na to, że mom gu-
pio nie fulać, że jak byda dobrom frelom, to pońda po śmierci hań do nieba, ku
aniołkom. Tacik nie wiedzioł ło czym my tam durś łosprowiomy, bo mioł co in-
szego do roboty, i tak ech se nagrabiła. Co zrobisz, współczesno myśl filozoficz-
no była dło mie niezwykle nowoczesnym rozwiązaniem i uznałach jom jako styl
moigo życia. Skiz tego dałach się ochrzcić i łostałach chrześcijankom. Łojciec
jak się dowiedzioł, to choby dioboł w niego wstąpił! Barbara!!! Barbara!!! Jo cie
zaczasna. I rychtyk. Musza wom pedzieć, że można jakbych z tym Orygenesem
coś popochała i łostała zowitkom, toby się mynij znerwował. Można yno by mie
z chałpy wyciep... Ale łon tak tych chrześcijan nienawidził, jak żywego łognia uni-
koł. Tak już musiało być. Jo z panem Orygenesem nic bych i tak nie napochała
z poru względów. Po piyrsze, jo je porządno dziołcha i moja cnota je cenniejszo
od życia. Godom to jako kobieta i jako chrześcijanka! Po drugie, pan Orygenes
jes dło mie trocha za stary. Po trzeci, bo jest i po trzeci! Pan Orygenes wyrzek się
swoigo męstwa podczas pewnego bardzo bolesnego rytuału i każdy dobry chrze-
ścijanin o tym wiy! Można yno beztuż mój tatulek go najyni jako rektora... Ta-
tulek zgupioł w swoij wściekłości, a mie nie zostało nic innego, yno rzykać jako
mie nauczył mój rektor. Ale rzykanie nie zmniejszyło nerwów tatulka i jak mie
znod, to chcioł na miejscu zabić. Aniołowie mie prowadzili, a jo leciała przed sia,
za miasto, ku wzgórzom, i tam tak rzykałach, aż się rozstały skały i we tyj górze
znodłach ukrycie. Nie na długo, bo parobki mie uwidziały i zdradziły wszystko
gupieloki moimu łojcu i tako mie zawarli we tym turmieu, w tyj celi.

*Podchodzi do okna zadkiem abo przodkiem, unosi ręce jak kapłan, okienko umieszczone
wysoko zaczyna się świecić jasno i dość mocno rozświetlając cela, Barbórka się odwraca.*

Jutro zetnom mi głowa i byda wolno. Zostawia pogan, chrześcijan chopów i baby
i ta cela nareszcie. Może mie kaś wymalujom na łobrozku. Można ci, kierzy ko-
piom w górach tunele, się o mie upomnom. Może insi tak jak mój łojciec pedzom,
że jo nigdy nie istniała, że nima żech ani prawdziwo, ani wymyślono. Wybocz-
cie, ida się jeszcze na chwila siednąć. Nie musicie już otwierać tych drzwiryzy...
Już nie trza...

Cisza. Cima. Pauza.

SCENA 2.

*Cima. Wszystko tak samo jak w scenie piyrwszj. Noprzód cima. Słychać horkanie,
jakiś mlaskanie abo i sklinanie. Dość cima widać, że na pryczy siedzi frela, nie wyglądo
za dobrze, kudły mo potargane, bluzka zmazano, potargano, rajstopy podarte.*

FRELA:

Ciuup! Jak mie łeb nadupio... szumi, dzwoni, słysza wszystko, słysza jak jedyny
babie we tasi klucze do auta dzwoniom, słysza jak wajzle cisnom na połednie. Nic
już nie wiy, co się zy mnom wyrobio, jakbych znodła konsek zrzadła i się wej-
rzała, bo coś mi się zdo, że dziób mom otraskany. Zaś musiałach dostać bez pysk,
bo mi się zęb kolybie. Ale wto tu był? Wto mi tak ciulnoł? To nimiało tak być...

Cisza.

Nic nie widza. Drzwiryza zawarli. Zawarli mie? Zaś mie zawarli? Nic nie łostawili?

Podchodzi do stolika, bierze flaszkę, w której je trzy ćwierci gorzoly i kieluszek.

Zostawili trzy ćwierci flaszki i kieluszek. Może być.

Nalewo i goli jednego.

A kaj som moje bajtle? Srać to, pudom pojeść do matki. Pasożyty.

Posiedza, poczekom. Można mie przidom łodewrzić? Można mie nie spierom, można bydom się kcieli seksić...? Dyc wczora to musiało tak być... Nic nie poradza se spomnieć. Jak tatulek żył, to jeszcze było trocha inaczej. Łojciec pił, pił, no fest pił. Jak zapił jedyn dziyń, to poradziło go trzymać dwa tygodnie. Mom to po nim. Był do mie bardzo dobry, dboł ło mie. To matka durś yno ryczała. Tatulek mi dowoł pojeść, jak byłach mało, to nawet broł mie ze sobom do szynku i tam mogłach się zrobić ze szolki łyk piwa... I tak fajnie woniało tatulkowom cygaretom.

Cisza.

Matka durś yno ryczała, jak nie po mie, to po nim. Zowdy byli my winni, a łona nie była lepsz. Wielu razy zawarła drzwirza do mieszkano, a jo musiała siedzieć na siyni. Somsiedzi tego niy widzieli, bo my miyszkali na łostatnim szto-ku. Żodnego nie ciekawiło co jo robia na siyni. A jo czekałach na tatulka. Nawet jak drzwirza były łodymknione, to czekałach na tatulka na siyni. Jak kole drugij kończył szychta, to jak pił mało, jechoł do dom przewozym i kole pół trzecij już był pod drzwirzami. Jak było pół i piyńć minut, a łonego nie było, to znaczyło, że przidzie ło pionty łozarty. Szłach go szukać nojprzód do szynku, do Obywatelskij. Stowałach na palcach przy łoknie i zagładałach, czy nie widać tatulka. Jak go tam nie było, szłach na dół do Solorza. Bufetowo Marjanka od progu na mie ryczała, bo znała moja matka. Ale jak tam urzędowoł tatulek, to siadałach ku nimu. I już żodyn po mie nie ryczoł. We szkole tyż radziłach se dobrze. Jak mi ktoś ubliżoł, to wyszczyłałach po ciaproku i był spokój. Tym bardziej że zawsze to jo była najstarszo, bo do koždyj klasy chodziłach dwa lata. Jednego roku wysłali mie do esy i skończyło się babce sranie. Jo tam za bardzo nic nie umiała, ale w tyj esie żodyn nie umioł czytać, a rehtór proł nos takom drzwianom lajstom. Skuli tego przestałach tam łazić. Wolałach iść na tory abo szukać łojca... Tego roku się wszystko podupilo i już nigdy nie było tak samo. Szukałach tatulka w jednym szynku, w drugim, trzecim i nikaj go nie było. Zaszłach aż pod som werk. Stoł tam taki barak, kiery się nazywoł... no jak koždy taki bar... nazywoł się Bar MAX. Tam robiła za bufetym tako Małgola z Gostynie i łona jak mie ujrzała, to zaczyna ślimtać. Ana, Ana, ty siyrotu, co ty terozki zrobisz? Mie aże ciary przeszły po plecach. Tuki – tak z samego wyrchu do samego dołu – jo wszystko to czuła. Uciyklach. Byłach w doma na wieczór.

Poślimtano... A jo nima tako, coby durś ślimtać. Mamulka siedziała we izbie, kole nij babka, kiero nigdy prawie słowa nie pedziała, i jakoś cudzo baba. – Tatulek się zabił – tela mi pedziały, i w ryk te wszystkie babska. – Jak się zabił, godejcie ino, jak? – Przez gorzoła! I zaś lankor! – Mamo! – rycza – dowiedziałach się prowady. Popił w robocie i chycił się naprawy jakisikej skrzynki elektrycznyj i go zabiło. Nimałach już tatulka.

Ociero łzy.

Ida zoboczyć, czy mie już odykli.

Sprawdzo drzwi, nalywo kolejny kieliszek, wypijo.

Miałach 15 lot, jak się urodził piyrszy pasożyt. Oddałabych go do domu dziecka, ale matka mi zakochała. – Jak żeś se bachora zrobiła, to terazki go chow. Nie pedziałach żodnymu, czyj to był bajtel, bo mie prosiła o to pani listonoszka. Jeji synek chodził ku mie na zolyty i myślała, że to łon. Mie to... no to wyicie... To nie było obce. Wejrzicie na mie, dyć mom 27 lot i dalij jestech atrakcyjno. Jak nimom cipy pod łoczami i jak się umyja, to jest na czym łoko zawiesić. Łon mi go doł, żech jest kusząco, że jak dom se rozepiąć tyn knefel... nie byda dalij godać. W końcu nie yno knefle i rafieszlosy mi odpinoł. To był dobry synek, yno gupi. Za mały do mie, taki karakan. Kaj jo by się z takim pokazywała! Niyy... Śnim niyyy...

Naleja se jeszcze. Nie gorszcie się, że wom niy naleja, ale mało mom.

No synek łod listonoszki poszoł wek, z nim się nie pokazywała, ale pokazywała się z Danielem. Tyn tyż był gupi, ale gryfny, wysoki, z takim przedziałkiem na łepie na pojsrodku. Jak się bajtel urodził, to już żyli my razym. Nawet dobrze to wspominom, bo mie za czynsto nie bił. Do dziecka tyż się nie zbliżoł, no mieli my dość tak spokój. Pili my trocha.

Nie poradza pedzieć, pojakimu durś się mie ta gorzoła tak trzimie. Nic nie może się dzieć bez gorzoły? Daniel przepił wszystko, co nom jeszcze zostało. Był taki czas, że nie mógł wychodzić z siyni na osiedle, bo zarozki wtoś na drodze mu wciuloł. Każdymu był coś dłużyn. Jo tyż dostała. Szłach do Sobikowij do kiosku po cygarety, tela co się za mną drzwiryza od siyni zawarły, patrza, a leci na mie tako dupno maszyna. Dwa razy abo trzy razy rubszo jak jo. Baba z bebechym chyba w dziewionym miesiącu. Wielko jak byfyj u omy. To była Hana... Jak mi dupła w pysk, toch się kopytami nakryła.

Jednego dnia się stracił Daniel i wincyj o nim nie słyszała. Może skuli tego, żech cołki czas siedziała u Marcina. No to była burzliwo miłość i skuli tyj burzliwości jakech miała 17 lot, to urodził się tyn drugi pasożyt. Łoba się chowiom u moij mamy. Zaglądom tam czasym, jak nima co jeść.

Maco się po gymbie.

Terozki czuja jak mie wszystko boli. Musiałach dostać fest.

Zaś maco się po gymbie.

Kule... Z Marcynym się gibko skończyło skuli gorzoły. Roz mie tak znerwował... Prziszeł z roboty i zoboczył, że popijom gorzołka zamiast rychtować łobiod. Wyłoł mi cało szolka do augusa i chycił za flaszka. Chcioł mi jom wyłoć... tak gul, gul i do tego zesmolonego augusa. Zmarnować, pieronie! Jak się spomna, jak łon mie znerwował...

Chyćłach noża i ciułłach go tym nożym prosto w serce!

Nalywo. Pije.

Zrobiłach to z miłości! Dalij się nerwują, jak się spomna. Kto by się nie nerwował! Jeszcze terazki we gowie wszystko to słysza. Słysza, jak mie kludzom po siyni dwa gliniornie, słysza, jak klupiom szczewiki po schodach, jak za drzwiryzami sąsiedzi aż stynkajom, dychajom i charczom przy kukłokach. Idymy do auta – słyszała, jak łokna łotwyrane skrzypiom, jak gardiny szeleszczom. Siedziałach skuli tego mamlasa sześć...

Popijo.

Sześć...

Hepie.

Sześć godzin. Puścili mie, bo nie wniósł oskarżynio. A co łon miał wnosić, jo się pytom?

Przyjechała sanitarka, nóż z między ziober mu wyjyni i pedzieli, że nic mu nie bydzie. Mamlas. Yno tatulek był prawdziwym chopem, reszta to yno banda mamla-sów, a jo szła cołki żywot z deszczu pod rynna. Matka mi drzwirzów nie otwiyro. Każdy dzień śpia u inszego chopa, w coroz to gorszyj melinie. Kaj jo je zawarto?!

Pauza.

Wczora przyjechał Przemo, wypuścili go z haresztu. To łon mie musioł tak sprać... Z miłości? Z zazdrości? Z zowiści? Z żałości... Słysza, jak idzie po schodach, słysza, jak szkrobie klucz we zomku, jak dyszy. – Zabija cie, ty motyko! Zabija cie, ty hadro! Łeb ci utna i do gulika wyciepia! Nienawidza cie za to, kim żeś jest! Kim żeś była! Nienawidza cie za to, kim jo jest! Wejrzołech rano do zrzadła i widziołech tam jedna wielko wściekłość. Na ciebie, babo!!!

Drzwirza skrzypiom, słysza, jak w antryju ze szranku wyciągo laga, kiero się tam narychtował... To bydzie na tela. Mom tu jeszcze ostatni łyk...

Cima. Słyszać z offu głucho uderzenie lagom.

MaxYmilJan *(eli blank inkszo gyszichta ô ôsiymnostym)*

Irek Widera

PERSŌNY:

- MAX – chop trzidziści szejš lot stary (wysoki, chudy a glacaty; moderne brōnotne galoty, nogawice wpuszczōne do czornych sztibletōw, bioło flanelhymda wpuszczōno do galot, czorny gōrt ze sztrykōm zieleznōm koplōm, a na ramiynia naciepninynty ruby szady szaket)
- YMIL – chop kajš tak siedymdziesiōnt lot stary (bryle nasadzōne na kōniuszku nosa, siwo beretka ze cyplikiym, fest poŹōłkło hymda bez kragla, siwo westa z ponaciōnganymi kapsami, czorne galoty z bigylfaltōm choby bōły ôd ancuga a czorne schacharzōne, nale pociōngniynte noleŹnie gutalinym charboły)
- JAN – jednako stary kej Ymil (czorny hut z ôpadniyntym rantym, połotany siwy szaket, kraciasto hymda, brōnotne, s leksza za krōtkie galoty a halbki bez fuzekli)

BINA:

Lato eli wczešny podzim. Ôstrzodek staryj werkszteli. Lekko cima. Klara filuje bez dwa mikre ôkiynka a rozwarŹe dŹwiyrza. We lufcie cyrkuryluje sztaub choby strzybne floki. We ece ôkiynka wizawi dŹwiyrzy brōnczy masara, kero dała sie chycić bez pajynczyna. Dwie inksze rōntujōm wele sagij byrny zwiyszōnyj pode powalōm. Pode ôkiynkiym stojj falbank ze szraubstokoiym i porozkładanymi na placie roztomajtyymi werkcojgami. Dalij bielōne wertiko, nade ônym dwie rōmy z roztolicznymi krauzkami a biksami. Dalij facy z klamorstwym. Jakeš koło przy drugij ścianie i rōma a tajle ôd inkszego. Zaroz wele siykiyrka, kuloki i sztafel pociupanych drobno patykōw, cynkajmer, grample, ryłka a inksze fizymatynta. Ymil zico na gnotku, a Jan na ryczce i szpilajōm we szachy.

JAN:

Kaj sie sam cišniesz z tym lojfrym! Chibać bez bauery to se moŹesz yno szachferdym! Przeca niy do sie przefurnōnć szrek bez cołki szachbret!

YMIL:

Ty rychtig, Johan, niy dowidzisz! Dyc to je szpringer! WeŹ ty se spatrz juŹ jakie bryle, bo hned knefli przy bōntku se niy pospinosz do porzōndku!

JAN:

Ty sie juŹ tak, Milek, ô mie niy starej, ja. Tropić sie zacznaz dziepiyro tedy, kej ônych niy rozepnaz ô czasie i do galot nadrzistōm.

YMIL:

Yno se niy forszteluj, co yno skiŹ tego byda do wychodka za tobōm wlawowoł!
We dŹwiyrzach werkszteli stowo Max. Ymil norywnie srywo sie z kuloka, klinym hocy Winkel szachbreta i buli wszystkie figury.

JAN:
Nō to my se poszpilali.

YMIL:
Max! Najduchu lagramyncki! Ale żeś mie wylynko!

MAX (*wezruszo ramiyniami*):
Zalygo wōm co na sumiyniu, co mocie tako bojōnczka?

YMIL:
Ty sie ô moje sumiynie niy starej! Ône klar choby kragiel ôd hymdy we niydzie-
la rano. Nale dobrze wiysz, co moja niy ma rada, kej sie lebruje. Chop podług
ônyj mo sztyjc yno robić, bodej tyż i tedy, kej niy mo nic do roboty. Dychnōńc
to se idzie podug ônyj na wieczōr eli we niydzia. A nojlepij dziepiyro na ker-
hofie. Tela co ôna ku werkszteli niy rada przilazuje, beztoż mōm sam troszyczka
frajnizny i mogomy se ze Johanym coś zbajtlować po cichu.

MAX:
Przeca sam niy chacharzicie, to cōż sie tak wyrychliwie starocie?

JAN:
Max, mody jeżeś i żywobycio niy znosz. Każdo baba je jednako. Choby moja.
Durch yno bydzie wynokwiać, kej mie widzi, skuli tego jo sie wola ônyj stracić
i niy pokazywać dziepiyro jak na kust.

MAX:
Wydziwiocie z tym godkōm ô babach. Keby niy ône, to byście we sfifranym ôbly-
czu lazowali, głodowali a po chałpach gardiny ze pajynczyn ôdganiali i rozwieziōne
bajtł chowali.

YMIL:
Chop, co bōł przy wojsku, poradzi ô sia skłodnie zadbać.

MAX:
Mocie glik, co wasza ślubno niy słyszy tyj waszyj godki, bo na drugi dziyn ôd sa-
mego rana byście same do wsi ciśli po żymły, a fuzekle prali we waszpeku.

JAN:
Tyś je terazki taki mōndrok, Max, nale doczkej, przidzie i na cia kejsik dran. Jo ci
źle niy winszują, nale roztomajcie bywo. Zowdy nojprzōd je cicianie, zolyty co niy-
dzia, kwiotki, pierszczōnki, bigel roz za kej. Baba bydzie dōnżyć, coby sie wart-
ko wydać, a chopu wiadome, ku czemu sie uwijo. Nale fajer wartko sie kończy,
a dalij nastowo czas na beztydziyn. Szady choby śniyg na Princoku wele werku.
Bajtł, arbajt, param ze ślubnōm na wielkie kōżdo niydzia, byzuch u szwigrōw,
i tyż bydziesz yno patrzeć, kaj tyż wybznōńc samopas.

YMIL:
Ja, mosz recht, Hanek. Zatym sie czowiek zwyrtnōł, już mu pizło trzidziści i for-
baj. Bajtł, utropa i roz za kej yno fajer. Szkoda godać. Mode terazki majōm po-
rynka. Wychodek na siyni, woda w kokotku, do roboty na kole se zajadōm, skłod
za winklym, sztrōm, kachloki, chlywiki na placu, waszkuchnia w każdym fami-
loku. Kōmfort na fest.

JAN:

A dej pokōj. Świōt fest szprygnōł do przodku. Se spomnij ta garōwa po dziesiynć godzin. Do arbajtu, egal jaki czas, piechty sztyry kilometry hań a nazod. Woda zimno ze studnie nabiyrano, wychodki na placu. Jo bezma ôziym lot we jedny sztubie ze ułomnym szwigerfatrym a zmierzłōm szwagrōwkōm, jeji szpanerskim chopym, kierego do dzisiej niy trowia, i ônych rozwieziōnymi cwiligrami bytowoł. Dziepiyro kej my sie na swoje przebrali ze Sztefkōm, to my ôddychli.

YMIL:

Ja. Swoje my przeżyli. Szpilōmy noch ajn mal? (*schyło sie i zbiyro ze zola rozciepane figurki*) Pōnknij sie, Max! Sam już je małowiela lichtu, a ty nōm jeszcze ta resztōwka chybisz!

MAX (*przedzisz sie cofie, a za chwila wlatuje rajn*):

We szachy grocie?

YMIL:

Niy! We fusbal! A jo je Wilimowski! Max! Kejbyś erbnōł ôd starych Ślōnzokōw intus, toby my se szpilali we szkata, nale we dwōch to niy ma graczki. Ku tymu trza trzecigo.

JAN (*za pokojym we gosie*):

Ywald Bauer sie miōł tak wartko niy tracić. Miesiōnc po tym jak dostał pynzyjo. Terozki by my se polekutku szpilali jednako, kej piyrwyj.

YMIL:

Ja, chowie. Na pylica niy wynodli jeszcze medycyny.

JAN:

Weż ustōn, Ymil. Jako pylica? Przeca Ywald bōł za anszlagera aże do pynzyje. Na dōł sjechoł możno ze dwa razy. To kej by miōł tyj pylicy nabyć?

YMIL:

Ty już żeś je niy yno ślepy, ale mosz tyż fest krōtko pamiyńć! Dyc Ywald, ôdkōnd yno pamiynca, jeszcze za Nymca robił za cimerhajera na dole!

JAN:

Ja! Ty to wiysz nojlepiej! Kej ty, chowie, gruba znosz yno z ôbrozkōw a tego, co ci inksi nagodali przy biyrze!

YMIL:

Ty mi bydziesz próbował terozki ônaczyć! Jo miyszkoł aże do kōńca dziewiyntostego storocza wizawi gruby! Dziepiyro kej sie Krista nōm narodziła, to my sie przekludzili na Princok!

JAN:

Wizawi gruby? Wizawi gruby, chowie, stoł dwōr, a niżyj szula! Chcesz mi pedzieć, co kwatyrował żeś na zōmku eli we szuli? Toć! We chlywiku eli szopie to ja!

YMIL:

Moja Gizela mo na paniyńskie Sznapka! A Sznapkowo chałpa stoła wtynczos wele fary. Mōm godać, co hań terozki stoi fara a kościōł, a w hańtym czasie było prōzne pole. I sztrasa na Marta Waleska!

JAN:

Ymil! Kaj sztrasa na Waleska, kaj dwōr, a kaj chałpa ôd Sznapkōw!

YMIL:

Chyba jo wiym lepij, kaj żech na zolyty tyroł, pra?

JAN:

Jo tam Sznapkōw niy znōm, nale tak z tyj twojij godki wynosza, co u tych Sznapkōw bōły fest gryfne frelki. Gowa mosz aże do dzisiej zbelōntano, kej niy poradzis se wszyskigo skłōdnie skuplować. Kōncym, Ywalda i tak byś hań niy uwidzioł, bo ōn ōd poczōntku na Bradzie robił. Za anszlagera!

YMIL:

Powiydz mi, jako ōn mōg robić za anszlagera, kej na Bradzie bōła upadōwa! Johan! Mosz glik, co jo niy mōm dzisiej sztichu do chaje! (*stawio ōstatnio figurka na szachblacie*) Zicej sam i szpilōmy!

JAN:

Szpilōmy, padosz? Nale niy przekopyrtniesz zesla, kej zaś bydziesz zbiyroł szmary?

YMIL:

Dyć to Max ściepoł figury, niy jo!

JAN:

Ja! Ty terozki niy swalej na modego, yno wejrzij sie na swoja niygramotność. A kej byś chcioł wiedzieć, to Ywald mioł chore puca ōd siedzynio we tych pierōńskich grabach we Flandryji. Beztōż charłoł tak ōszkliwie.

YMIL:

Tyś je cołko Flandryjo! Fto by takigo spasionego, zawalatego lebra na frōnt posyłoł!

JAN:

Przeca sōm mi godoł!

YMIL:

Ja! Yhm! Ywald dziepiyro tedy prowda pedzioł, kej sie pomylił! We szternostym to ōn bōł we landszturmie! Siedzioł we Beuthen a wachowoł lagerhauzu, kaj zaczyni swozić cugami a fōrami ōd Altrajchu mantle, uniformy, pelce i sztile po Rusach.

JAN:

To po jakimu sie niyskorzisz kurowoł we lazarecie?

YMIL:

A katać tam kurowoł! Wziyni go do lazareta, kej sie wygodoł, co wyuczōny je za terlocza, coby holzbajny a berła rychtować. Ōd końca szternostego sie niy poradzil ōgōnić ōd roboty, bo tyż coraz wiyncyj inwalidōw sżyżdzało ōd frōnta.

MAX:

Synek ōd Ywalda, tyn starszy, Bercik, sie kurowoł bez dugszy czos. Jo ōnego znoł, bo pod jedyn czos żech sie fest kamracił ze Bercikowym brackiym. Pamiynca tyn dziyń we sztyrnostym, kedy Bercik Bauer cis na bana, na cug do Ratibor, kaj mioł sie stawić. Das dritte Ōberszlezische Infanterieregimynt numer cwajiundzychcich! Wtynczos to miało zocny klang, ja! Nale dwa tydnie dalij już tak gryfnie niy bōło. Dostoł francuski patrōn zarozki yno sie zaczōna ta cołko wija. Mioł glik, bo ōd szlugu trefił do lazareta.

JAN:

Ja! Pierōnowy glik. Ledwa co sie wylyczył, zaś trefił nazod na front, a pōłtora roku dalij już chopa niy bōło. Wtynczos ani ōnego już niy pochowali. Gije można aże

do dzisiej kajś na francuskim kartoflisku. Tak po prowdzie to my mieli glik, Milek. Ty żeś już był na wojsko za stary, a jo był piyrszy roz rod, co doczekali my sie ze Sztefkōm siedmiorga bajtli.

YMIL:

Jo przeca wojowoł! Na hajmatfrōncie. Wycie wela my sie ze Sztefanym Czypmōm zrychtowali tych tabul na Nagielaktionen. Czyrwony Krziż dowoł ōnych ōbształować na ibrich. (*zwyrto szachblat ze rozstawiōnymi figurami*) Biołe eli czorne?

JAN:

To pierōnym żeś sie nawojowoł. Ja! Bajzyjgom, colsztokiym, pucpapiōrym a holajzōm. Piyrszego Francuza żeś dziepiyro we dwadziestym na banhowie we Katowicach nabadoł. (*zwyrto szachblat nazod*) Jo napoczynōł ōńskigo razu. Tōż terozki czorne moje. A ty, Max, cōż tak nic niy godosz? Wela ciebie je? Szterdziści?

MAX:

Trzidziści szejś...

JAN:

To ty tyż miołeś glik, co cie oficery ōd Wilusia na hakflajsz niy zdōnżyli przeōnaczyć.

MAX:

Jo już przy polskim wojsku był.

JAN:

Wejrzyj sie, Gerad. Polok Bercik Bauer wojowoł za kajzera i faterland, a Nymca Maxa Piechy ku polskimu wojsku wziyni.

MAX:

Jo niy mioł wyńscio. Moje fatry przijōni polski ōbywatelstwo. Co prowda z musu, nale jeszcze po welōnku koždy trufoł, co hned nastōmpi zaś tyn ōrdnung, kery był downij. Beztoż ōstali sam, a niy rajzowali za szloga kej inksi. Kōńcym, kaj sie mieli brać, kej sam kludzili gyszeft.

YMIL:

I gryfnie, bo żodyn masorz we Hajmacie niy poradzi zrychtować takich maszketnych frankfurterkōw kej twój fater. Kejby citnōł za szloga, byłoby aże żol. By my musieli kajś do Glajwic za tymi frankfurterkami rajzować.

JAN:

Jo tam je tymu rod, co we ōziymnostym sam nastała Polska.

YMIL:

Nosz pierōnōw tysiōnc! Ty rychtig niy miarkujesz co godosz, Johan! A można musisz nojprzōd coś pedzieć, a dziepiyro dalij myndykujesz nad tym, coś usłyszol? Bo inaczyj se niy poradza tuplikować tyj twojij puklatyj godki! Przeca we ōziymnostym to Hajmat był jeszcze niy potajlowany!

JAN:

Niy ōsiwej sie tak, Ymil, bo zaś figury rozciepniesz! Można i był w całości, nale tyż już niy tyn sōm, co piyrwyj.

YMIL (*ōnaczy piyrszy ruch na szachblacie*):

Podug mie to tyn cołki ōziymnosty był fest ōszkliwy. Ōsobliwie sam, na tym naszym kōńszczyczku świōta. Krig był fertich, świōt zaczōn sie ōporzōndzać,

rychtować ôrdnung. A sam gynał na ôpy ôroz nastał srogi krôm. Choby ftoś nôm sam chciôł naschwol zônaczyć i fest powadzić.

JAN:

Tu ci musza przikwolić, Milek. Sam ludzie zowdy yno patrzeni familije a arbajtu, a niy politykowanio. A eśli już kej ôwdy coś tam se ôsprowiali, to bez tyj cołkij zowziyntości, kero dzisiej fônguje. *(gibko przestawio czorno figura)*

MAX:

Ja. U nos na Kuklôwce przodzij blank niy szło uznać, fto Polok, a fto Niymiec. Wszyskie jednakie. Kej my sie za bajtla prali na placu, to egal, kej popadnie. A niy-skorzij każdy sie wzajem spomogoł. Dziepiyro po tym siarónskim krigu coś sie pomiyniło.

JAN:

Bajtla zowdy sie poradzôm wartko skamracić. Majorantne wolôm sie trzymać dalej. Nale tyż piyrwyj niy bôło z tym starości. Na Hundykolôniji wszyscka ludzie bôli zgodne. Ôdkônd pamiynca Niymce kwartyrowali wele Polokôw. Aji Ginter Dônerstag, co bôł przy powstaniu.

YMIL *(przestawio festelnie figura, aże inksze sie zabelôntały):*

I zaś mie gorszysz z takôm godkôm! Jaki powstanie? Dyc to bôło ajnfachowe charakterstwo! Pora narwańców z flintami zaczyno sie jorgać, i to skuli czego? Coby sie skuplować ze landym, kaj co dziesiônty yno poradził czytać, a wysmolić sie lotali bez żerdka za stodoła. A dyc za tydziyń już bôło pośmiatane. Ruk cuk dostali po rzici, pociepli flinty i usłuchliwie podeptali nazod ku chałpôm pod pie-rzina. Epne insyrgenty.

JAN:

Niy godej! Jorg Kwoska, co hauzyrowoł na Pelcowiźnie, skiz tego chajanio musioł drab wartko citać do Altrajchu.

YMIL:

Johan! Nale skuli czego Kwoska śmiatoł? Dyc ônymu sie rewolucyjo śniła. Hochberga se umyślił pobulić a cołko dobrota princowo rozcwajgować. Ôn keby tak yno szło, to niy yno do Altrajchu, nale ôd szlagu do Rusów by polecioł zawiniyn-ty we czyrwôno fana.

JAN:

A Kareł Soika? Ledwo wyloz ze chałpy, Grynsszuc go chycił, zawar do haresztu we Mysłowicach, a kej ônego wypuścili, to tak schacharzônego, co do roboty przy morcinie sie już niy nadowoł. Chop zaczôn tintać i hned trefił na fecht.

MAX:

Moje ônkle sie musieli brać do Rajchu, kej ônym ludzie, co sie sjechały z cołkij Polski, zaczyni na bzdury robić. Bajtli na placu dziecka hańtych sztyjc napastowali, ômy fest ôszkliwie przezywali, chlywik hajcnyli, krôliki wyzbijali. Ônkłowi na grubie dali papiôry, ponoś skuli tego, co bôł we Selbstszucu. Życio sam niy mieli, bo na zidlôngu yno ône sie ôstały samiusiyńkie. Tôż na co mieli czekać? Za szlogôm cołko nasza familijo.

JAN:

Ja, Max, nale przedstow sie po jakimu? Fto napoczōn sam ta cołko wija? (*stawio nastympno figura*) Dej pozōr, bo ci syjmna lojfra!

YMIL:

Dziwej sie na włosne figury! (*zawiyszo gorść nad szachblatym*) A fto wtynczos rezykirowoł we Hajmacie, Johan? Poloki? Niy! Niy mce! A podug Niy mcoŭ to co ty mianujesz insyrgyncjōm to bōło ajnfachowe rōmplowanie, kiere wartko trza bōło abszłusować. Pokoŭ mi land, kiery do se robić bezkornie breweryjo. Ōd tego je policyjo, coby sōnaczyła wartko ōrdnung i szlus. Beztōŭ godōm, cołko ta cha-ja to bōł yno darymny futer. Ta we dwadziestym jednako.

JAN:

We dwadziestym drugim?

YMIL:

To juŭ bōła ta trzecio. Po welowaniu. Poloki sie niy poradziłi zgodzić, co tyn welōnek niy poszoł po ōnych myśli.

MAX:

A wyście bōli wtynczos za Polskōm eli Niy mcami?

YMIL:

Jo zowdy bōł yno za włosnōm familijōm.

MAX:

Nale byliście welować?

YMIL:

Fto tedy niy welowoł? Niy znōm takij persōny, kero by niy szła do welōnku. Nale cōŭ to bōł za welōnek. To tak choby kozali ci se wybrać, co wolisz: drabszajs eli fersztopung.

MAX:

Tōŭ za czym Źeście kōńcym welowali?

YMIL:

Jo ci sie mōm terozki spowiadać?

JAN:

Sōm Źech je interesantny...

YMIL:

Ty Źeś je, Johan, wraziłaty, a niy interesantny. Za Hajmatym niy szło.

JAN:

Jo za Polskōm welowoł. (*zbiyro figur ze szachblata*) I mosz po lojfrze!

YMIL:

No! Tōŭ terozki mosz, cōŹeś se ōbroł. Wejrzyj sie na landkarta. Hajmat przy Polsce podany na ōgryzek. Taki wycyckany, a pociepniynty. (*ze uśmychym*) A ty mosz jedyn turm myni! Trza dować pozōr, a niy godać za wiela!

JAN:

Fulosz! A pod Niy mcy to niy bōł wycyckany? Sto razy bardzij!

MAX:

Godocie choby Kwoska! Za Niy mca to Hajmat ze zagizdŹōnyj prowincje wciśniynty kajś do eki moderny Ōjropy ruk zug sie wysztigłowoł choby gryfno frela na

wydaniu! Fto sam cis geld, ludziom dowoł arbajt, zidlungi stawioł, sztrasy zrychtowoi i aisbana, szule pobudowoi?

JAN:

Wszysko skiż wōngło a inkszyj dobroty! Fto sie w tym wartko pochytoł, zbajstlowoi gyszefty a zaczōn robić geld. Jo sie yno pytōm, co ludzie sam z tego majōm?

MAX:

Wszysko, co żech wōm pedzioł! To je mało?

JAN:

Nale geld gyszefciorze cislōm kaj indzij, do swoji kapsy.

MAX:

Egal, Poloki eli Niymcy! Tak je zrychtowany świōt, a nōm sie trza z tym zgodzić. Jedyn mo geld, rychtuje gyszeft i dowo robota drugim. Chyba co chcecie sam drugij Rusyi. Hań ponoś wszysko majōm pospołu. Yno jo to widza tak, co Niymce durch sam coś ōnaczōm. Byliście kiedy za szlogōm. Taki Beuthen. Gryfnijszego sztata żech niy widzioł. Rozblyszczōny a moderny. Jakie budōnki... A Poloki? Prziszli sam na gotowe. I yno cychajōm.

JAN:

A bōleś we Katowicach? Widzioleś te zidlungi na Brynowie? Te srogie budōnki, kaj katedra stawiajōm?

YMIL:

Dejcie pokōj, chopy! Jo se yno przedstawiōm, co taki potajlowany to już niy je echt Hajmat!

JAN:

I sie ōdezwoł! A co sam je terozki? Ty se lang forsztelujesz, co Hajmat yno pod Niymcym może fōngować!

YMIL:

Mi je egal! Pod Niymcym, Polokiym, Czechym eli Turkiym! Bele niy potajlowany! We ōsiymnostym bōła tako szansa. Pamiyntocie? Bund der Ōberszlezier? Wtynczos rychtig Ślōnzoki razym sie wziony do roboty. Tyn... jak mu tam... farorz ōd Ratibor...

MAX:

Ulitzka.

YMIL:

Ja! Reginki, Napiyralski, Ywald Latacz, Musioł... (*rachuje na palcach*) Sjednoczyni. (*zacisko gorś*) Mieli idyj frajsztatu.

JAN:

Ymil! Co ty spōminosz! Cołki tyn fajer ōbstoił sie yno bez chwileczka. Jednym rzić zawarli, inksze citli drab wartko ku swoim. A cołko idyja ōdfurgła choby boczōnie na podzim. Niymce zaczyni ōbstować ku tymu co bōło. (*przetawio fi-gury*) Zbiyrōm ci, Ynst, szpringera.

MAX:

A Poloki skwolać kaj yno a dopōminać sie sklajstrowanio Hajmata ze Polskōm. I rōmplować przy tymu!

YMIL:
I tych bych proł po sagij rzici a dziwoł sie, czy rōwno puchnie!

JAN:
Niy godej! Korfanty mioł dobre intyncyje!

YMIL:
Korfanty to politykier, a taki patrzy zowdy yno na włosny prefit! Żodyn niy ma ani fynika wort. Jo Korfantego niy powożōm, bo po mojemu to ōn nōm Hajmat rozerwoł, choby to bōła jako staro chadra! Myśłoł, co naraji Hajmat Piłsudskimu, a tyn we podziynce za taki gyszynk koże powiyżć jakōm gryfnōm landarōm do Warszawy a do hań rezkiyrować. A można tyż jaki dynkmal we Warszawie wystawi.

MAX:
Tōż go Piłsudski powiōz... Aże pod rusko granica!

JAN:
Ty nie bydź, Max, taki pośmiywny! Jo se na ōnego niy dōm nic pedzieć! Chop chcioł przeca dobrze. Trzeci powstanie to ōn zagasił, bo widzioł, co alianty dowajōm wiara Polokōm.

MAX:
Ja! Nale zagasił yno to, co przodzij sōm rozfechtowoł! A potym drab wartko śmia-toł. (*chyto Gerada za gorść*) Jo bych tyj damy niy ruszoł. A kej już marsz, to niy podle dugości.

JAN:
Mōgbyś sie, Max, niy styrkać? Ymil zaś przegro i zacznie wajać, co to skuli ciebie.

YMIL:
Po mojemu to nojwiyncej sam zawinili alianty. Poloki by same ōd sia niy pora-dziły nōm potargać tak ōszkliwie Hajmata. To te hochsztaplery siarońskie koza-li nōm se ōbrać, fto sam mo nōm rezkiyrować: Berlin eli Warszawa. A żodyn sie niy spytoł, kej nōm sie to widzi.

JAN:
Ftoś to musioł usōndzić.

YMIL:
A niy szło tego ōstawić tak jak to bōło? Po pierōna sie styrkali, handlyrze usmolōne!

JAN:
Przi Niymcach?

YMIL:
Jo ci padoł, co mie by sztimowało. Yno Frajsztaat.

JAN:
Nale wiysz, co ō tym niy bōło ani godki. A po jakimu niy cołki przy Polsce?

YMIL:
Weż niy błoznuj, Johan. Trufōm, co nikyj nōm sie to niy przitrefi. Kiery to mini-ster godoł coś ō afie a zygorku?

MAX:
Mie fater padali, co Ynglyndery woleli, coby Hajmat ōstoł sie przy Niymcach skuli ruskigo giftu. Festelne Niymce miały wachować, coby sie Rusy niy puściły kajś dalij.

YMIL:

Za to pierōńskie Francuzy chcieli widzieć Niymcy spolygliwe. Beztōż same se wziyni Lotaryngio a Alzacjo, a Hajmat zaczyni wciskać Polokōm.

JAN:

Nale końcym prawie to usōndzili.

YMIL:

Ja! Gyna! Po mojimu to jakiś aliant szluknōł se po swaczynie wina, wziōn landkarta, blaszstift i postawił sztrich. Na landkarcie to bōła yno piska, nale tak po prowadzie to ōn wziōn bodziok a zōnaczył sznit, kery sie już nikiy niy poradzi srosnōńc.

JAN:

Nale jakoś to musieli prawie potajlować, bo tyż wszyscy przeca niy bōli za Niymcami przy welōnku.

MAX:

Niy ma czegoś takigo jak prawoś a recht! Ōnkel Richat małowiela by na gruba musioł ze pasym lazować, bo na dole wystawili grynzpost! Fatry ōd mojigo szwagra pod Rybnikym mieli przepołowiōno zegrodka. Coby se ponek nazbiyrać eli wieprzków, musieli iść na niymiecko zajta. Moja ōma do tante Marty do Hindynburga rajzuje zaplōmbowanōm bankōm bez Rudzko Kuźnica. Wōm to je prawe a sprawiycliwe?

JAN:

Przeca majōm karta cyrkulacyjno, a zielōnki przy szlodze taszōw za fest niy badajōm. *(dugo trzymie gorś ze szpringerym nad blatym, nale końcym stawio)* Tōż mōmy szach...

MAX:

U nos na to godajōm „krwawiōnco granica”.

JAN:

Mocie jakieś dziwoczne te szachy.

MAX:

Jo padoł ō tym tajlowaniu bez cweku a pomyslunku. Powiǳcie mi, co to wszystko bōło we wercie? Ludzie sam bōli przeca ōbstōne. Kōždy, fto mioł glik przijś w jednym kōnsku nazod ku chałpie ōd krigu, patrzył gibko se wyrychtować wszystko i napocznońc ajnfachowe żywobyci.

YMIL:

Mie to niy ma dziwne. Wtynczos polityki kajś fort szpilali po swojimu wlosno graczka. Kej krig bōł szlus, to wygrane zaczyni rozdować karty użytecznie yno dlo sia. Sam sie zaś naskludzało niy wiadōmo skōnd fol skwoloczy i zaczyni wichlryżć. A nasze ludzie dali sie na to nabiyrać. Znōm takigo, co polecioł sie prac za Polskōm, a we brōutbojtlu mioł spakōwany krziż zieleżny. Inkszy polecioł ze flintōm, keryj se ōnego starzik spatrzył ōd jakigoś wojoka po chaji pod Sadowōm.

MAX:

Ku tymu farorze ōd kozatelnicy tyż swoje dodali, a przeca wycie, co sam, we Hajmacie, kej farorz coś skoże, to je echt świynce.

YMIL:

Farorzôm to sie nojwyincyj dziwia. Ône sie przeca przodzij dali zgupić. A takie bezma wyuczône. Nymieckie hochszule jak jedyn pokôńczyli. Dojcz perfekt, a tu-kej taki umfal. Można ônym sie zdało, co przy Polsce bydôm mieli lepszyjsze życie.

JAN:

Dyć ônym egal kej, to zowdy na zicher je lepij. Nale tak se niykyj przedstawiôm, co można snami, Ślônzokami, je coś niyrychtig. Można my sie do bycio przedsia blank niy nadowômy. Zgodzić sie niy poradzimy, do fôngowania pospołu wie-la nôm brakuje. Ani powadzić sie do porzôndku niy poradzimy. Ledwo sie na-pocznie jako chaja, każdy sie zwyrto na krômfleku, ciśnie wartko ku chałpie, za-wiyo we ajnci i ślimto, kej to nôm inksi Hajmat krzywdzôm. My, Ślônzoki, niby mômy jedna godka, a dogodać sie niy poradzimy!

MAX:

A werci sie prać? Robić darmo larmo? Choby jakie bajtle na mamlasplacu? To mo być podug wos zocene?

YMIL:

Dyć my takie sôm. Ślônzoki. *(dziwo sie na ôkiynko a przestawio biołego krôla bez pomyslônku)* Nacyjo darymno do bycio przed sia. Niywładno do rezkiyrowanio. Niywinowato choby kukulôntka we kolybce. Mamlasy lagramynckie z downiysz-a i na zowdy. Nymie a niyporadne. Ganz niywłazłe. Sztyjc dowômy sie chytać na gryfne ôbiecki roztomajtych skwoloczy. A ônych wzdycki sam fol, napasz-tliwych choby wancki. Ciôngnôm sam cołkôm hurmôm ô kôżdym czasie, bele yno wycyckać cołki soft, a nôm ôstawić ôszkrabiny. A Ślônzoki cuzamyn rade, co roz za kej fest na zidlôngu se srychtujôm, na muzyka pônôdôm, krupnioka biyrym popijôm, a sznita z hauskyjzôm eli fetym majôm na beztydziny. Ja! Bele mômy sam arbajt a śwynty pokôj. Yno coś mi sie zdo, co kejsik, zatym sie kap-nymy, stracymy sie jednako, kej poradzi sie stracić kapka ôd dyszcza we srogim stowku. To już niy bydzie yno jedyn sznit, kej terozki, a srogie potajlowanie na tak mikre bôdzinki, kiere wiater przedmucho na wszyskie zajty. I sie nôm wroz nacyjo straci, godka, zwyki, a na kôniec ôstatni Ślônzok przekrynci szalter a za-wrze dżwyrza i pônndzie weg.

JAN *(dugo myndykuje, nale kôńcym kładzie dama wele krôla):*

Szach... a mat.

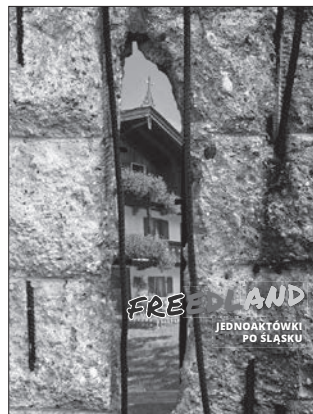
DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ



2012



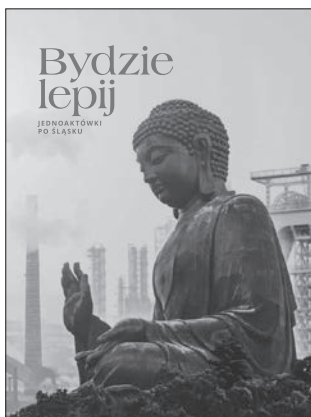
2013



2014



2015



2016



2017



2018

KRAUZY
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Korekta:
Grażyna Kwiek

Uwaga:
w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych:
Katarzyna Kępa
Grafika na okładce: AdobeStock

Realizacja:
Stapis Katowice

Typografia i DTP:
Wojciech Grzegorzycza

Projekt współfinansowany z budżetu miasta Katowice
Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations oraz miasto Katowice
Katowice 2019

ISBN 978-83-953626-1-3



KATOWICE

dla odmiany

**Miasto muzyki
UNESCO**

♥ MUSIC

PT. FRI 19.08

Katowice kulturą stoją,
a właściwie... brzmią!
Wpadliśmy w ucho
UNESCO, które zaliczyło
Katowice do grona
miast kreatywnych
w dziedzinie muzyki.



WYDAWCY

IM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
dla odmiany

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-953626-1-3